Świat dziewcząt

cena 40 gr.



dn. 20 lutego 1933

N 6

Rok I. Warszawa, dnia 20. lutego 1933 r. Nr 6

Świat Dziewcząt

WYCHODZI 1-go 10-go i 20-go KAŻDEGO MIESIĄCA

JA I CAŁA KLASA

Konflikt, wyrosły na gruncie rozbieżności interesów tych dwóch pojęć, zarysowuje się bardzo wcześnie, bo w okresie najpierwszych szkolnych dni. Przerażona „nowa" wypuszczona z czterech ścian domu, dla którego była centralnym punktem zainteresowań, odnajduje się z nienacka w środowisku, które nie ma zamiaru uznawać jej autorytetu, jej „chcę" i „nie chcę" i które poprostu traktują ją, jako jedną z wielu.

Nie dość na tem. Zbiorowisko zwane „klasą" posiada jakieś swoje przedziwne, niepisane prawa, którym trzeba podlegać pod grozą... no pod grozą tysiąca drobnych przykrości, jakie w każdej chwili mogą spaść na człowieka, nie stosującego się zarówno do zasadniczych, jak i do bardzo niekiedy subtelnych, ledwo wyczuwalnych przepisów. Mała istotka w czarnym fartuszku musi przez niejedno przebrnąć, z niejednego przywileju zrezygnować, zanim zrozumie całą wagę tego rodzaju przykazań, jak: „Choćby cię smażono i pieczono w smole, nie powiadaj tego, co się dzieje w szkole", albo: „jest to cnota nad cnotami, trzymać język za zębami", albo: „Skarżypyta bez kopyta..." i tylu tylu innych. Jest to tylko pierwszy krok na drodze obowiązującego uświadomienia społecznego krok, który jednak z czasem powinien doprowadzić do zgłębienia znaczenia słów — solidarność koleżeńska — i — honor klasy.

Pierwszą trudnością, jaka nasunie się przy rozgryzaniu pojęcia „cała klasa" będzie to, że pojęcie takie odznacza się pewnego rodzaju specyficzną nieuchwytnością. Musimy się do niego ustosunkować przedewszystkiem uczuciowo, a oto, gdy pragniemy bezpośredniości, pojęcie „klasa", jako jednostka rozpryskuje się nam na 40, 50, czy tylko 20 dziewcząt, z których jedne lubimy, drugich nie, a które jakimś cudownym sposobem tworzą jednostkę, mającą swoje własne, zupełnie specjalne cele.

Drugą ważną sprawą jest to, że klasa jest pojęciem wyższem od indywidualnego „ja", bo „ja" musi się zawsze klasie podporządkować. Kwestja otwarcia okna, gdy jednej jest duszno, musi upaść, skoro „cała klasa" twierdzi, że jest właśnie zimno; nie wolno jednej głośno mówić, skoro „cała klasa" nad czemś w pocie czoła pracuje, ale jeżeli jedna pracuje, to klasa może wrzeszczeć ile się jej podoba, i żadne ciche, ani głośne przekleństwa nie będą w stanie temu zapobiec.

Powiecie, że to prawo większości, słusznie, ale większości, uznanej za pewną jednostkę społeczną, większości, która już umie bronić swoich praw i interesów.

Klasa i pod tym względem też nie jest bynajmniej upośledzona: każda z Was przypomina sobie napewno sytuacje, w których jedna z koleżanek zazwyczaj najmądrzejsza, lub najbardziej szanowana, występowała przed władzą w imieniu „całej klasy", prosząc o coś, na czem wszystkim, albo prawie wszystkim zależało. Jeżeli ktoś był przeciwnego zdania, wolno mu było najwyżej z marsem na czole siedzieć cicho, bo gdyby pisnął choćby słowo protestu, zostałby obrzucony pogardą ogółu, t. j. zarówno koleżanek, jak i profesora.

Solidarność bowiem z „klasą" jest cnotą tak zasadniczą, tak ważną w szkolnem życiu, że szanują ją zarówno uczenice, jak i nauczycielstwo, i nigdy, żadna stuprocentowa egoistka, ani lizus, ani coś podobnego nie będzie miała dobrej opinji na radzie pedagogicznej. Nawet w tragicznym momencie, kiedy cała klasa staje w obronie jakiejś uciśnionej niewinności, względnie przerażonej winowajczyni, nawet wówczas, pytanie: kto to zrobił? — rzucone z katedry w las pochylonych w zaciętem milczeniu głów, jest zwrotem retorycznym, i nikt, a najmniej profesor nie liczy w tym wypadku na odpowiedź. Hasło: „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego" — choć jest nieco wyświechtane i wytarte zbyt częstem użyciem, pozostanie zawsze jednakowo ważne ze względu przedewszystkiem na swą doskonałą odwracalność: jeden za wszystkich — to jest to, co ja daję mojej najbliższej jednostce społecznej — klasie; wszyscy za jednego — to to, co ja od niej otrzymuję.

Rządzi tu, jak i wszędzie prawo wzajemności, a przy nieustannej chęci człowieka do brania, a niechęci do dawania, musimy o tem pamiętać, choćby to miało nawet kosztować wiele wysiłku.

W jednym z poprzednich numerów Świata Dziewcząt, w artykule p. t. „Najbliższe serce", była mowa o przyjaźni, o jej korzyściach i o... obowiązkach, jakie ona na człowieka nakłada. Sądzę, że łatwo to było pojąć w stosunku do takiej konkretnej jednostki, jaką jest przyjaciółka: wiemy przecież co jej wyrządzi przykrość lub krzywdę, co jej sprawi przyjemność lub przyniesie korzyść; wiemy, że nie wolno nam jej *nigdy*, obgadywać, a *zawsze* musimy jej bronić, wiemy także, że tego samego możemy od niej wymagać. Jeżeli chodzi o klasę jako jednostkę, sprawy się niesłychanie komplikują, a zakres naszych obowiązków, jest nie zawsze wyraźny.

Czy np. klasa, cała klasa stanie w mojej obronie z powodu jakiejś nieprzyjemnej historji, czy ja mam być wdzięczną właśnie klasie, czy poprostu tej koleżance, która podała ten projekt? A może poporostu — nikomu, skoro uważam, że słuszność była po mojej stronie?

Otóż w takim wypadku, klasa, nie jedna koleżanka postąpiła ze mną szlachetnie, mogę śmiało powiedzieć, że klasa stanęła w mojej obronie i w stosunku do całej klasy mam obowiązek wdzięczności. Moment najważniejszy stanowi tu akt połączenia się w pewną całość wszystkich koleżanek dla wygłoszenia jednej opinji. Aby zrozumieć taki cud przeistoczenie 20 czy 30 indywidualności w całość jednakowo myślącą i odczuwającą, trzeba spojrzeć na to pod pewnem kątem, do którego dojście równa się zdobyciu ważnej dojrzałości społecznej. Poprostu pewnego dnia, zrozumiemy nagle, że jesteśmy tylko cząstką pewnej całości, niezależnie od tego czy to miasto, w którem żyjemy, czy państwo, czy świat cały nawet. Zależy to od rozległości naszego horyzontu, a że zawsze i przedewszyskiemt należy zaczynać od początku, bo to i łatwiej i praktyczniej, więc najpierw poczujmy się cząstką swojej klasy.

Takie poczucie obywatelstwa wypleni z nas raz na zawsze wszelkie bunty przeciwko korzyściom większości, nauczy nas cieszyć się radością całej klasy i jej smutkami martwić. A przedewszystkiem nauczy nas pracować dla jej dobra, nie tylko dla własnej korzyści.

Kiedy wreszcie pożegnamy się z ostatnią ósmą klasą, przecież nema obawy, aby się przed nami rozłożyła pustka. Instynkt społeczny, który wzbudził się i utrwalił na najmniejszym odcinku naszego życia społecznego popchnie nas o stopień wyżej, abyśmy znów przylgnęły do jakiejś całości, tym razem nieco większej, aniżeli nasza dawna, szkolna, niedorosła klasa.

Z chwilą, gdy zdobędziemy ów wymarzony patent dojrzałości, nasza klasa, jako jednostka, zewnętrznie, nominalnie zaginie i rozsypie się. W rzeczywistości zostaną jednak jakieś tajemnicze więzy, jakieś magnesy ukryte, które sprawią, że słowo — koleżanka z mojej klasy — będzie miało w sobie jakąś tajemnicę uczucia. Kto wie, może to sprawi owo — ty — jakiem przemówią do siebie dwie starsze panie, gdy spotkają się choćby po wielu, wielu latach, w jakiemś odległem, nigdy niepomyślanem mieście, a może siła dawnych przyjaźni? Najpewniej jednak sprawi to wspomnienie owej jedynej, bardzo ważnej chwili, kiedy obca wszelkim ugrupowaniom, żyjąca tylko dla siebie jednostka, poczuła się nagle obywatelką swojej klasy.

Zawiślanka.

a myślałam...

10.12.

Dziś spotkałam go poraz pierwszy na Świętokrzyskiej. Jakże mi wstyd, że się zagapiłam na wystawę z pantoflami bo właśnie miałam sobie kupić takie na „słoninie". Co on mógł sobie pomyśleć. Z oczu wyzierała mu dusza prawdziwego poety. Uśmiech jego pożeglował do mnie poprzez mglistą atmosferę wielkiego miasta. Jakże niegodną czułam się tego uśmiechu. Cóż ja znaczę wobec tego pana! Nędzna pensjonarka ze znaczkiem szkolnym na berecie. Jego błękitne spojrzenie idzie za mną jak smuga świetlna w ciemności. Mieszka pewno w pałacu, w Alejach Ujazdowskich. Może odwiedził chorego kolegę na Siennej. Ach, gdybyż spotkać go raz jeszcze! To rozumiem. Jest prawdziwym dorosłym mężczyzną, nie żadnym takim uczniaczkiem.

Zasnę dziś z jego uśmiechem w myśli.

12.12.

Spełnia się sen na jawie. *On* jest kuzynem znajomych Hali. Wczoraj znowu spotkałyśmy go na Nowym Świecie. Ukłonił się Hali, ale wiem, że uśmiech był tylko dla mnie. Ma cudne baczki a la Krasiński. Ach, wiedzieć kto jest jego Delfiną. Jest to pan wytworny i bogaty. Pewno oddaje życie służbie społecznej. Jakże słodko śnić będę tej nocy.

14.12.

Nie widziałam go dwa dni i tak mi smutno, a przecież czegoż miałam się spodziewać, szalona! Poznać go byłoby szczęściem zbyt wielkiem. Przeczucie nie myliło mnie. Jest poetą. Podobno drukuje swoje wiersze. Ach gdybym mogła je dostać. Książkę jego położyłabym pod wazonikiem w którym codzień zmieniałabym świeże róże (ale dopiero w maju, bo teraz kosztują po 2 zł.).

15.12.

Szczęście, szczęście! Dziś Hala telefonowała, że spotkała go znowu u znajomych. Zauważył mnie. Hala mówi, że zapytał: „Kto jest ta milusia blondyneczka?" Dotychczas nie cierpiałam takich wyrażeń ,ale w Jego ustach musiało to brzmieć, jak muzyka. Zaprzyjaźniłam się bardzo z Halą To jednak b. miła dziewczyna, zwłaszcza skoro bywa u Jego znajomych. Stała się podporą mojej miłości. Telefonował Bronek, żeby z nim iść na ślizgawkę. Powiedziałam żeby się odczepił – właśnie mi w głowie głupie ślizgawki. On z pewnością nie uprawia takiego dziecinnego sportu tylko ma własny jacht lub motorówkę. Zresztą jest poetą — poco mu sporty. Jego wiersze muszą być cudowne.

Bronek powiedział, że jestem gęś. Ale mnie to nic nie obchodzi. Głupstwo.

18.12.

Chodzę wciąż zasłuchana w siebie. Gdybyż te święta prędzej minęły! W pierwszych dniach stycznia u tych znajomych Hali jest przyjęcie i może — może wystara się ona o zaproszenie dla mnie. Boję się o tem myśleć, żeby nie spłoszyć szczęścia ,co jest jak ptak i łatwo odlatuje. Hala jest moją naj - większą przyjaciółką. Jej też podoba się bardzo pan Bohdan. Bronek dzwoni codzień. Chce, żebym przychodziła na zebrania naszego kółka sportowego. Nie może zrozumieć, że wcale mnie nie bawi ta głupia dziecinnada.

Czytam „W Szwajcarii". Wiersze te oddają dobrze mój nastrój. Dlatego że są takie poetyczne. Hala nie umie wytłumaczyć, gdzie można dostać jego książkę. A może wydał ją pod pseudonimem.

26.12.

Nic mnie nie cieszy, nawet choinka. Wszyscy uważają, że zeszczuplałam, ale chodzę jak nieprzytomna. Nie rozumieją, że radość moja nie jest zwykłą rodzinną, pospolitą radością. Jest nadzieją na wyższe szczęście. Bronek był u nas trzy razy i chciał, żeby z nim grać w warcaby i ping-ponga. Pytał, czy czytałam Smiskal'a Sforę Bieguna. Pewno jakaś nudna, dziecinna książka. Niedługo może będę tulić na sercu tomik prawdziwej, świętej poezji. Hala jakoś nie mogła się z nim spotkać, nie mam więc żadnych wieści. Życie moje byłoby jałowe, gdyby nie ta nadzieja. Hala nie jest pewną, czy uda jej się zdobyć dla mnie zaproszenie do państwa Z.

Uprosiłam mamusię, żeby mi odświeżyła bronzową welwetową sukienkę. Ma teraz śliczne kremowe bufki na łokciach. Przy moich złocistych włosach może to być bardzo ładnie. Janka obiecała mi dać pudru na to zebranie. Już odłożyłam złotówkę na kupienie malutkiej, żółtej różyczki. Koronkową chusteczkę (jedyną, jaką posiadam) już uperfumowałam wodą kwiatową. Pachnie, jak wonny krzak bzu, pachnie, jak moje szczęście. Bo przecież o niczem więcej nie marzę jak tylko o usłyszeniu jego aksamitnego głosu, porozmawianiu z nim o książkach, o teatrze, o poezji, o Jego wierszach. A może jest nawet wielbicielem Krasińskiego? I dlatego nosi takie baczki. Do snu kołyszą mnie myśli jak muzyka strun drgających miłością. Napisałam wczoraj wiersz o wiośnie, starałam się, żeby nie był banalny. Tak nie cierpię tych wszystkich „hen", „sen", „warg", „skarg" i innych bzdurstw. Czuję, że trochę głupio piszę ten pamiętnik ale moje wnuczki jeśli go będą czytały odczują co to jest, kiedy się nosi wiosnę w sercu (bo wina nie piję z powodu: harcerstwo).

Bronek już przestał telefonować. Mówi, że się zrobiłam zupełnie kołowata i o niczem porządnem ze mną rozmawiać niemożna. Podejrzewa, że jestem zakochana. Odpowiedziałam, że jeśli nawet, to co to go obchodzi? Na to odpowiedział zupełnie poważnie:

— Lepiejbyś się trzymała swoich porządnych kolegów, a nie zadawała się z cywilami, bo jeszcze trafisz na głupiego bubka i będzie ci samej wstyd.

Odparłam na to:

— Są oczy, które nie kłamią...

Głupi bubek! Coś podobnego powiedzieć o *Nim!* Bronek jest smarkacz od ślizgawki, warcabów i ping-ponga. Dużo mnie obchodzi, że jest prymusem i prezesem kółka sportowego!

1.I.33.

Dziś Nowy rok. Moja żółta różyczka jeszcze jest gdzieś na krzaku różanym. W tych dniach rozstrzygną się moje losy...

3.I.

Hala jest Aniołem! Zdobyła dla mnie Jego fotografję! Codzień się w nią wpatruję przed zaśnięciem. Wykradła ją poprostu z albumu państwa Z. biorąc odemnie słowo, że ją zwrócę, żeby nie zauważyli. Co za szkoda, że nie mogę jej postawić w ramce pod wazonikiem, wprawdzie jeszcze nie z różami, ale z jemiołą. Dopieroby w domu się zaczęli dopytywać. Chowam ją w kartkach tego pamiętnika. Jestem jeszcze między niebem a ziemią z powodu tego zaproszenia, ale smuga błękitna z pewnych źrenic podsyca we mnie nadzieję (fotografja nie jest kolorowa, ale widzę barwę jego oczu z pamięci). Bronek nie chce się jednak odczepić. Mówi, że chce mnie uleczyć! Zarozumialec. Ośmiela się twierdzić, że to dla mego dobra, bo jak dłużej będę w takim cielęcym nastroju, to będę łapać same dwóje po świętach!

5.I.

Mam zaproszenie!!! Jeszcze tylko piątek, sobota, a w niedzielę! Nie wiem ,czy zdołam przeżyć tyle wrażeń.

Droga, jedyna Hala!

8.I. 1-sza w nocy.

Nie wiem jak zacząć... Już trzy godziny jak wróciłam z tego przyjęcia. Widziałam go. Rozmawiałam z nim. W głowie mi się wszystko kręci poprostu. Nie wiem w rzeczy samej jak zdołam przeżyć ten cios. Nie, nie przekażę tego pamiętnika potomności. Niech nikt nie będzie świadkiem mojej hańby.

Dotknęła mnie największa klęska jaka może stanąć na drodze życia: rozczarowanie.

Tak. Jest przystojny. Ma niebieskie oczy. Jest zamożny. I — rozmawiał ze mną. Tak. Najpierw powtórzył jeszcze raz że jestem „milusią blondyneczką" (co za obrzydliwość). Potem powiedział: (tak, na złość sobie, opiszę wszystko, słowo po słowie, niczego nie oszczędzę).

— Ta róża w swojej wiosennej krasie, podobna jest do Pani.

Potem:

— Czy słyszy Pani upojne dźwięki tego tanga?

Potem:

— Kawa powinna być czarna, jak noc, słodka, jak miłość, gorąca, jak piekło.

Potem:

— Mężczyźni wogóle... Kobiety wogóle...

Potem wyszczególnił się na temat, że jego ulubioną książkową bohaterką jest... „Raptuska".

Ale to wszystko nic. Pokazał mi swoje wiersze (nosi je na sercu). Nic dziwnego, że nie mogłam ich nigdzie znaleźć, bo były drukowane w jakiemś tam prowincjonalnem pisemku. Ale to mogło im w niczem nie zaszkodzić. Gorzej, że składały się z samych „warg - skarg", „hen - sen", „żal - dal", „wiosna - radosna", „złota - tęsknota". Tęcze snów, przędze marzeń i co kto chce. Cały asortyment grafomański do wyboru.

Ciągle mówił o duszy wzlotach i t. p. a dowiedziałam się przy okazji, że skończył 4 klasy, ponieważ jest bogaty, nie wziął się do żadnej pracy ,hula i trwoni majątek matki i sióstr. Jedynem jego plusem jest imię Bohdan. Bo te baczki zbliska są obrzydliwe i pretensjonalne. Miałam rzeczywiście powodzenie, ale on podobno każdej mówi te same głupstwa w kółko. Wkońcu nie wiedziałam, jak się od niego odczepić. Zdybałam wreszcie gdzieś Halę i wygarnęłam jej, co miałam na sercu. Ona się broni, że nie chciała „omraczać mojej miłości" zresztą znała go mało i nie przypuszczała, że taki głupi.

Jestem poprostu wściekła, że tyle czasu chodziłam w rzeczy samej, jak kołowata przez takiego bubka. Bronek miał rację, jak się okazuje.

Ze złości idę zjeść butersznyt i wypić herbatę, którą mama zostawiła dla mnie w imbryku, przeczuwając, że na zebraniu nic nie przełknę z emocji. Rzeczywiście gardło mi się tak ścisnęło ze zdenerwowania, że ani rusz. Nawet lodów nie spróbowałam (terazbym je zjadła z przyjemnością). Zaraz zjem i idę spać tylko muszę się przedtem wypłakać ze złości.

Nie, nie będę miała wnuków. Nie mogę ich skazać na posiadania idiotki-babki. Toby się mogło źle odbić na ich zdrowiu.

9.I.

Byłam dziś z Bronkiem na ślizgawce. Pożyczył mi „Sforę bieguna", właśnie ją czytam. Cudowna. Żeby mi się nie zmarnowała sukienka włożę ją na herbatkę naszego kółka sportowego. Ale już bez różyczki, boby mi się niedobrze zrobiło na myśl o mojej „krasie". Chociaż, co ona biedulka była winna. Jeszcze teraz stoi w wazoniku, bo zawsze to coś żywego i szkoda było ją wyrzucić. Nie, niema głupich, nieprędko dam się nabrać na miłość. Na tej sportowej herbatce będą sami nasi i nikt nie będzie gadał głupstw.

10.I.

Bronek obiecał pomóc mi w geometrji. To jednak porządny i inteligentny chłopak. Już nie będę nic pisała w tym kajecie. Obrzydł mi doszczętnie.

Zacznę nowy.

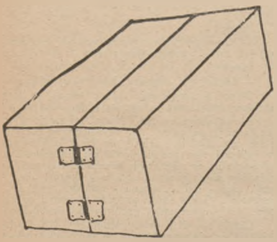
m. k.

CO MOGĘ ZROBIĆ SAMA

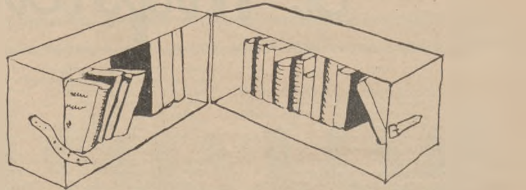
MEBLE Z NICZEGO.

Doszły do mnie głosy Czytelniczek, życzących sobie mieć urządzenie swego kącika w ogólnej izbie. Myślałam już o tem sama, a że nie pisałam o tem w pierwszych numerach pisma, to dlatego, że uważałam za pilniejsze udzielanie rad tym, co mogąc łatwiej wydać pieniądze również łatwiej mogą je wydać źle. Dziś postaram się zadośćuczynić wymaganiom Czytelniczek, a uczynię to z tem większą przyjemnością, że materjał do artykułu czerpać będę ze wspomnień swojej studenckiej gospodarki, która przypadła na pierwsze lata po wojnie.

Najczęściej używanym materiałem na wygodne i wykwintne meble były skrzynki otrzymywane w prezencie, lub kupione za kilkadziesiąt groszy w sklepach kolonjalnych. Jeżeli skrzynka taka była wąska i długa — przykręcało się do niej uszy i wisiała wtedy jako półka na ścianie. Ze skrzynek od makaronu, owoców suszonych, margaryny, czy innego tłuszczu zestawiało się nieraz dość skomplikowane i zupełnie wygodne meble. A więc np.: tuż koło pieca, bo tam było najcieplej, stała umywalnia. Zrobiona była z



dwóch jednakowych skrzynek, które postawione węższymi bokami na podłodze były trochę wyższe, niż zwykły stołek. Skrzynki te były zestawione denkami do siebie i zbite gwoździami. Otwór jednej skrzynki skierowany był na pokój i zasłonięty firaneczką, drugi znajdował się od strony ściany, był jednak stosunkowo łatwo dostępny, gdyż cała podstawa była trochę odsunięta od ściany, aby miednica, nieco większa, mogła stać swobodnie. Każda ze skrzynek była przedzielona półeczką na 1/3 wysokości od góry. W przedniej skrzynce półeczka była z deski, pochodzącej z wieczka skrzynki, stał na niej kubek do mycia zębów, proszek i reszta skromnych przyborów toaletowych, ewentualnie jakieś lekarstwo. Na górnej powierzchni tej umywalni po rogach były przybite z góry cztery krótkie kawałki dość grubej listwy (2 cale na 1 cal), w ten sposób, że wystawały na zenątrz. Te ich wystające końce były złączone cieńszą poprzeczną listewką (pół cala na 1 cal), która służyła do wieszania ręczników. Naturalnie, że przy robocie takiej umywalni zaczyna się od przybicia cienkiej listewki odpowiedniej długości na dwóch kawałkach grubszej, a później ich wolne końce przybija się do wierzchu skrzynek, gdyż inaczej trudno byłoby przybijać w powietrzu.



Pamiętam jeszcze jeden mebel, który stanowił również schowanie na książki i papiery, a był obliczony na to, aby zajmował mało miejsca (chowało go się pod łóżko) i był nietylko łatwy do przetransportowania, ale nawet bardzo użyteczny podczas przeprowadzki. Składał się z dwóch skrzynek zupełnie jednakowej wielkości zestawionych otwartemi brzegami do siebie, dłuższemi bokami stojących na ziemi. Z jednej strony połączono wąskie boki skrzynek zawiaskami przyśrubowanemi od zewnątrz w ten sposób, że skrzynki można było rozsunąć tak, że stały obok siebie, a wąskie boki złączone zawiaskami stykały się wtedy. Wewnątrz stały książki jak w szafie. Po zamknięciu tej szafy, (czyli zestawieniu skrzynek) zamykało się ją zapomocą rzemienia i sprzączki wziętych ze starego fornirowego pudełka od kapeluszy, czy troczków. Możnaby równie dobrze zastosować skobelek i kłódkę, zależy o co będzie łatwiej. Mam wrażenie że z dwóch niewielkich skrzynek byłaby zupełnie wystarczająca składana szafa na wszystkie uczniowskie książki i zeszyty, nic nie zostawałoby na stole, co przy braku oddzielnego pokoju stanowi zawsze niebezpieczeństwo zniszczenia rzeczy.

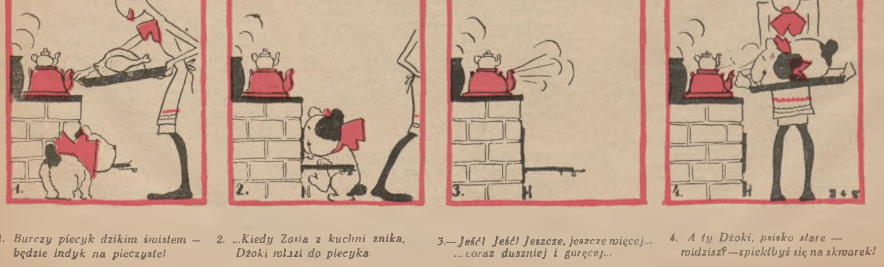
Aby taka składana szafa, o ile ma być chowana pod stołem, czy pod łóżkiem, była łatwa do przesuwania, trzeba kupić cztery małe podkówki, takie, jakie się wbija w nogi krzeseł. Są to niklowane gwoździe o krótkiej nóżce i wypukłej główce, która daje niedużą powierzchnię zetknięcia z podłogą. Gwoździe te wbijamy po brzegach skrzynek, w połowie ich szerokości.

Ponieważ deski takich skrzynek nie są gładkie, a nie można ich heblować, gdyż są zbyt cienkie, można je tylko obić mocnym papierem pakowym lub tekturą. Najmocniejszy papier nazywa się natron i jest z jednej strony błyszczący, z drugiej matowy. Aby uchronić go od rozdzierania na brzegach, wszystkie brzegi podwiniemy, lub przyciśniemy paskiem tektury i wtedy dopiero przybijemy gęsto tapicerskimi gwoździkami. Tektura najmocniejsza jest szara, może być zupełnie cienka maszynowa, gdyż bronzowa czy biała są mniej sprasowane, łatwiej się ścierają i dzielą na warstwy po brzegach. Jeżeli zrobimy umywalnię ze skrzynek z wierzchu musimy je przykryć kawałkiem ceraty, spadającym trochę na boki.

Im mniejsze mieszkanie tem bardziej rzeczy nie będące stale w użyciu muszą być schowane, inaczej zniszczą się szybko, a w pokoju będzie stale nieporządnie. Szczupłość miejsca zmusza do lepszego obmyślenia organizacji każdej pracy. Dlatego lepiej jest mieć własną szafkę na książki i przybory szkolne, choćby nie była ona piękna i mogła stać tylko pod łóżkiem, niż trzymać te rzeczy na oknie, które zacieka [illegible] tknięcie z jedzeniem. Ponieważ wyciąganie i otwieranie takiej szafy nie jest bardzo wygodne musimy zawsze zanim do niej sięgniemy sprawdzić według planu lekcyj jakie przybory będą potrzebne, wyjąć je wszystkie, ułożyć na stole w takim porządku w jakim będziemy ich używali, a odrobiwszy jedno zadanie, zeszyt z niem włożyć pod spód i wziąć następny. W ten sposób nawet pracując w ciasnym pokoju przy wspólnym stole nie będziemy zabierali dużo miejsca i łatwo możemy uważać, aby książkom i zeszytom nic się nie stało. W ten sposób ciasne mieszkanie pomoże nam przyzwyczaić się do racjonalnej pracy i porządku, co stanowczo trudniej jest nabyć temu, kto ma do rozporządzenia cały pokój i podczas odrabiania lekcyj potrafi zarzucić książkami i zeszytami wszystkie krzesła, okno, łóżko, a później pół godziny wyszukuje z tego śmietniczka rzeczy potrzebne do zapakowania na jutro.

J. Ładzianka.

ZOSIA I DŻOKI



1. Burczy piecyk dzikim świstem — będzie indyk na pieczystel

2. ...Kiedy Zosia z kuchni znika, Dżoki włazi do piecyka.

3.—Jeść! Jeść! Jeszcze, jeszcze więcej... ...coraz duszniej i goręcej...

4. A ty Dżoki, psisko stare — widzisz?—spiekłbyś się na skwarek!

Za progiem szkoły



Budujemy domy!

Z prawej strony dużego placu wyrastał dom. Dźwigał się długo z trudem najpierw od fundamentów, potem od pierwszego piętra do drugiego, pęczniał powoli gankami i balkonami, patrzał otworami okien i był coraz bardziej czerwony, coraz widoczniejszy, aż wreszcie pewnego dnia zdołałam go dojrzeć ze swego okna i powitać radośnie, jako widomy znak mocy ludzkiej pracy.

Ile razy, idąc do redakcji, lub wracając, przechodziłam koło domu, zawsze stawałam, aby przyjrzeć się uważnie zręcznym ruchom rąk murarza, siedzącego okrakiem na rusztowaniu i zlepiającego kunsztownie cegły biało-szarą mazią cementu i wapna, patrzyłam na zgięte plecy pomocników i pomocnic mularskich, które dźwigały stosy cegieł po spadzistych, chylących się rusztowaniach, podziwiałam umiejętność kamieniarza, szlifującego bezkształtne bryły, w jakieś rozsądne kształty, i szukałam tego kogoś, który cały ten chaos cegieł, wapna, kamieni i ruchów ludzkich zespolił w jedną planową całość, ujął w karby cyfr, w ramy przemyślanych i zgóry obmyślonych płaszczyzn: szukałam architekta! Zetknęłam się z nim w sposób zgoła nieoczekiwany i jaknajmniej oficjalny, a punktem zaczepienia w tem spotkaniu były naiwne, różowe bibułkowe firaneczki, powiewające nad jedynem prawdziwem „oknem" w tym nowobudującym się domu.

— Co to u was dziś jakaś uroczystość — zapytałam umazaną wapnem dziewczynę, zdumiona tą „wytworną" ozdobą. — Przecież do „wiechy" jeszcze daleko, więc co znaczą te firanki?

— Ii, tam, wiecha, to jest nic paniusiu — odparła zagadnięta, — ale „nasza pani" dziś przyjechała z urlopu, więceśmy jej „pokój" przystroiły, żeby miała elegancko.

— Aha, pokój — odparłam, przejęta niewspółmiernością nazwy i nazywanego objektu — a kto to jest ta wasza „pani".

— Wiadomo, „inżyjer" — odparła dziewczyna, zdumiona moją nieświadomością. — Niby narysowała wszyściutko, co my teraz tu robimy i co majstrowie robią, a teraz chodzi z kajecikiem i zapisuje cyfry. Robotę zna, nie można powiedzieć.

— A to wy tak lubicie tę panią?

— Lubimy. Człowiekowi złego słowa bez sprawiedliwości nie powie, ale jak krzyknie kiedy, to wszystko chodzi, jak na maszynach: nawet majster takiego posłuchu nie ma, jak ona. Za to, kiedy dobra, to porozmawiać lubi, jak człowiek z człowiekiem o dom się rozpyta o narzeczonego, i kiedy ślub, a czy powszechniaka się skończyło, wszystko. Pomóc też potrafi i wygodzić człowiekowi. Zeszłego lata, jak ruda Franka spadła z rusztowania i złamała nogę, to „pani" chodziła do niej i nawet takie lepsze jedzenie jej nosiła. Dobra jest i człowieka wyrozumie.

— A czy można zobaczyć się z waszą „panią" — spytałam zafascynowana tą charakterystyką. — Bardzobym chciała się z nią poznać.

— Pójdę, zobaczę — odparła moja rozmówczyni, ale zanim zdołała wejść na pierwszy stopień drabiny z jakiegoś okna, po pochyłej desce (o Zosiu, Mickiewicza, jakżeś przeistoczona!) zbiegła wysoka, szczupła istota, w brudnym kombinezonie i wpadła odrazu w moje objęcia.

— Droga, kochana, jedyna — krzyczała wśród gwałtownych pocałunków — skąd się tu wzięłaś, ileż lat ciebie nie widziałam, co u ciebie słychać, wyszłaś zamąż, gdzie pracujesz? Czy jeszcze piszesz wiersze?

Potok oszałamiających słów, wytrącił mnie z równowagi, ale jednocześnie nie miałam już wątpliwości, że „inżyjerem" jest Lusia, moja stara poczciwa Lusia, jedyna pociecha w tragedjach matematycznych, a także wszystkich innych, nasz kochany „mocny człowiek", nie uginający się pod żadnym ciosem. Ileż razy, po skończeniu szkoły myślałam o niej, co robi ze swem zamiłowaniem do nauk ścisłych, ze swym impetem życiowym i wybitnemi zdolnościami do rysunków, w małem miasteczku skazana na wieczyste „prowadzenie domu" i partnerowanie przy podtatusiałym bridżu miejscowych ilumenów.

Zapytałam ją o te wszystkie rzeczy w ciągu najbliższych 5-ciu minut, i otrzymałam odpowiedź wyczerpującą i entuzjastyczną, którą dowodziła niezbicie, że impet życiowy Lusi nie zmniejszył się ani trochę od tych kochanych szkolnych czasów.

— Ach, nie masz pojęcia, kochanie, z jakim trudem wydobyłam się z tego miasteczka, jak musiałam wywalczyć sobie możność wyjazdu do Warszawy, skoro mój ojciec do dzisiejszego dnia uważa, że kobiecie wykształcenie nie jest potrzebne. Wreszcie wylądowałam w stolicy z 50 zł. w kieszeni i zaczęłam się kręcić. Strasznie mi było ciężko, bo choć czesne na politechnice wynosiło wówczas mniej, niż obecnie (tak, podwyższyli obecnie do około 500 zł. rocznie), ale życie kosztowało o wiele drożej. No, summa summarum potrzebowałam miesięcznie też około 300 zł.; teraz mniej więcej tyleż trzeba, ale z jakim trudem mi to przychodziło.

— Gluptasie, dlaczego mnie nie odnalazłaś: we dwie byłoby nam lżej!



Wylatuje nad poziomy na... linie.

— A gdzież miałam cię szukać, zniknęłaś odrazu ze szkoły, pojechałaś gdzieś na wieś, a pisać, to już nigdy nie lubiłaś.

— Tak, ja tylko „od wiersza", ale mów dalej, co się z tobą działo, bo umieram z ciekawości.

— No nic. Trudno było mi się utrzymać. Myślałam nawet, że może Warszawa jest najdroższa, że może przenieść się do Wilna, czy do Lwowa na architekturę, ale wiesz, bałam się obcego miasta, przytem tutaj mam ciotki, które mnie czasem zapraszały na kolację, a tam musiałabym poprzestać na swojej bułce z masłem, albo nawet i bez. Dość, że zostałam, i tak się mordowałam 8 lat.

— Czy tyle czasu trwają studja na politechnice?

— Nie, zasadniczo 5 lat, ale trzeba pracować około 8 lat. Pod koniec tych 8-miu lat dostałam posadę w kreślarni: trochę dorabiałam rysunkami i plakatami, a także zdobyłam nagrodę na konkursie i miałam już na bułki z szynką. Za to, gdy skończyłam, wymordowałam i zdałam wściekłe egzaminy ustne i piśmienne, obroniłam dyplomową pracę, urosło nowe zmartwienie — o posadę. Nie masz pojęcia, jak niedowierzają kobietom! Po wielkich trudach, przez moją starą kreślarnię dostałam posadę, jako siła pomocniczo-pomocniczo-pomocnicza i łączną pensję zł. 100. Na szczęście udało mi się coś genjalnego zaprojektować, naczelny inżynier się wzruszył, no i jak widzisz — „wybiłam się" i jestem tak szczęśliwa, że przy obecnym bezrobociu mam posadę.

— Ile zarabiasz zasadniczo — zapytałam, uderzając odrazu o meritum sprawy.

— Całe 300, co ty sobie wyobrażasz, to jest suma na obecne czasy.

— Naturalnie, ale jak sobie dajesz radę z robotnikami, mularzami i całym tym kramem tysięcy ludzi?

— Świetnie. Lubią mnie, są bardzo przyjemni, a ja, gdy trzeba, to potrafię nawymyślać tak, że doskonale zrozumieją.

— A co cię najbardziej pociąga w twojej pracy?

— Wiesz, chyba świadomość tworzenia. Widzę, że to, co powstaje we mnie, jako pomysł, co sama w sobie wypracuję, to samo przyjmuje realne kształty; *staje się*. Bardzo często, w czasie tej niesłychanie uciążliwej, zajmującej cały dzień, pracy na politechnice, marzyłam, aby wreszcie móc tworzyć! Od chwili kreślenia planu, który wymaga tyle uwagi, sumienności i dokładności aż do chwili realizowania go w materjale cegły, kamienia, czy betonu, zawsze czuję się tą twórczynią: pracuję, jak artystka, w chwili natchnienia.

— Tak, zawsze miałaś, niezależnie od twojej matematyki, impet artystyczny, nie przypuszczałam, że pójdziesz w tak realnym kierunku.

— To właśnie odpowiadało moim zamiłowaniom. Odnaleźć realny wyraz dla moich artystycznych zamiłowań. Obok drobiazgowego wykańczania planów, lubię rozmach i szerokie horyzonty w pracy. Taka już jestem — złożona z dwóch kawałków. Wylatuję „nad poziomy" na.. linie i rysuję drobiazgowe planiki, z których mogą powstać wielkie rzeczy.

Pożegnałam „złożoną z dwóch kawałków" Lusię i popędziłam do domu, zamyślona o przedziwnych zdolnościach, włożonych w dusze ludzkie.

A na budowę obiecałam jeszcze przyjść.

Zofja Miszewska.

PROTEKCJA.

Telefon dzwonił bez przerwy. Coraz to zgłaszały się jakieś niesłychanie wpływowe osobistości, pragnące natychmiastowego porozumienia się z dyrektorem naczelnym. Chwilowy zastępca sekretarza osobistego inżyniera Lennerta, dyrektora potężnego koncernu stalowego, młody, bardzo chudy i długi człowiek w amerykańskich okularach, ledwie nadążał przełączać aparat. Zdawałoby się, iż całe miasto zostało poruszone jakimś niezwykłym wypadkiem, który zdarzył się na terenie biura koncernu. W samem biurze zresztą również panowało niemałe ożywienie. Z rur korespondencyjnych poczty wewnętrznej wysypywały się całe stosy pneumatyków, skrzynki z aktami z błyskawiczną szybkością fruwały po długich drutach, rozwieszonych nad głowami urzędników, na korytarzach i szerokich marmurowych schodach gromadziły się grupkami po dwie, po trzy młode panienki w czarnych fartuszkach i rozprawiały z podnieceniem.

Tymczasem dyrektor Lennert, olbrzymiej budowy, barczysty mężczyzna, z westchnieniem podnosił słuchawki swych trzech telefonów (przyczem twarz jego natychmiast machinalnie przybierała obojętnie-uprzejmy wyraz) i czynił nadludzkie wysiłki jednoczesnego porozumienia się z kilkoma atakującymi go rozmówcami. Konwersacje te dość naogół monotonne i podobne do siebie urozmaicane były niecierpliwemi uderzeniami wielkiej pięści Lennerta o biurko, lub też niespodziewanemi włączeniami osób trzecich, pragnących z kolei usłyszeć piękny baryton dyrektora.

Co się właściwie stało?

Stała się rzecz w dzisiejszych czasach niesłychana.

Oto dnia poprzedniego we wszystkich gazetach ukazało się ogłoszenie treści następującej:

„Młodą pannę, posiadającą znajomość języków francuskiego, angielskiego, niemieckiego i stenografji poszukuje się w charakterze sekretarki osobistej dyrektora naczelnego koncernu stalowego GFG. Zgłoszenia osobiste, lub piśmienne dnia następnego o godzinie 11-ej".

Teraz więc można było zrozumieć, czemu możne osobistości tego świata tak zaciekle walczyły o dostęp do telefonu pana dyrektora. Każda z nich popierała protegowaną przez się kuzynkę, lub siostrzenicę, tak że Lennerta dużo to musiało trudu kosztować, zanim zdołał zapewnić swych licznych rozmówców, że uczyni wszystko, co będzie mógł.

Na dole, w poczekalni gromadziły się już kandydatki. Zebrały się tu tłumy młodych dziewcząt, ładnych, brzydkich, brunetek, blondynek, skromnie i bogato ubranych. Coraz to na progu zjawiało się młode dziewczę, troszkę rozczarowanym wzrokiem obrzucało niezliczone ilości konkurentek, poczem pewnym krokiem podchodziło do woźnego, wręczało mu kopertę i wreszcie z dumną miną siadało na krzesełku, lub też opierało się o ścianę. Każda była w duchu przekonana o swem zwycięstwie i dlatego też obrzucały się nawzajem lekceważącemi spojrzeniami.

Zastępca sekretarza segregował stosy kopert, poczem Lennert czytał znajdujące się wewnątrz referencje i kazał wreszcie wywoływać panie podług załączonych wizytówek.

W miarę, gdy większość ich przewinęła się przed oczyma dyrektora, wpadał w coraz gorszy humor. Żadna z kandydatek, pomimo że referencje były doskonałe i poręczały za nie wybitne osobistości, nie odpowiadała jego wymaganiom.

Wreszcie, gdy ostatnia, śliczna panna o mocno nieinteligentym wyrazie twarzy, drżąc ze zdenerwowania opuściła gabinet, wzruszył ramionami i zirytowanym głosem zwrócił się do zastępcy sekretarza:

— No widział pan coś podobnego? I to mają być kandydatki na stanowisko mojej sekretarki osobistej! Przecież w żadnej z tych lepetyn niema za grosz oleju. Trzeba będzie jutro dać znowu ogłoszenie. Myślę, że dobra protekcja, to wszystko. Nie, moje panie, nic z tego.

Wtem rozległo się delikatne pukanie.

— Proszę! — rzucił dyrektor nie odrywając wzroku od rozłożonych na biurku papierów.

Na progu zjawił się woźny. Twarz jego zazwyczaj kamiennie spokojna, obecnie przejawiała wszelkie oznaki z trudem tłumionego uśmiechu. W ręku trzymał uroczyście tacę, na której widniała mikroskopijnych rozmiarów karteczka.

— Panie dyrektorze, tam na dole czeka jeszcze jedna mała panienka. Namawiałem, żeby sobie poszła, ale uparła się, że ma osobisty interes do pana dyrektora i za nic nie chce pójść dopóki się z panem dyrektorem nie zobaczy. Prosiła wręczyć panu dyrektorowi jej wizytówkę.

Dyrektor wziął wizytówkę i natychmiast brwi jego podniosły się ze zdziwienia. Było zresztą czemu się dziwić, gdyż ani dyrektor, ani nikt z jego otoczenia nigdy w życiu *takiej* wizytówki nie widzieli. Więc po pierwsze była ona niesłychanie malutka, po drugie kolor jej nie był ogólnie przyjęty przez cywilizowane narody świata, czyli biały, lecz pięknej, bladoróżowej barwy, po trzecie zaś widniał na niej napis, który całkowicie wytrącił pana dyrektora z równowagi. Napis mianowicie brzmiał.

Alinka Serduszko

a pod tem wielkiemi, niezgrabnie rozłażącemi się na wszelkie strony, jakby dziecinnemi literami

i Puś

Co to jest? Co za Puś?! Jaki Puś?! Co to ma znaczyć? — pytał groźnie pan dyrektor.— Kto to sobie stroi takie głupie żarty? Proszę powiedzieć, że nikogo nie przyjmuję.

— Panie dyrektorze... Mówiłem to już kilka razy, ale ta panienka za nic nie chce pójść. Siedzi w kąciku i powtarza ciągle, że ma interes do pana dyrektora, żeby ją pan dyrektor przyjął, bo zacznie płakać na cały głos i wszyscy się zbiegną. I pozatem to djablę, które nikogo do niej nie dopuszcza...

— Powiada, że ma do mnie interes? A nie mówiła jaki?

— Nie, panie dyrektorze. Powiedziała, że to interes osobisty do pana dyrektora.

— No to proszę ją tu prędko wprowadzić.

Po chwili drzwi otworzyły się znowu i woźny uroczyście zameldował:

— Panna Serduszko.

Na twarzy pana dyrektora odbiło się jeszcze większe zdumienie. Brwi jego pojechały aż do samych włosów, a oczy omal nie wylazły z orbity.

Takiego interesanta jeszcze nie widział, jak zresztą, zapewniam was, nie widział żaden z dyrektorów na świecie.

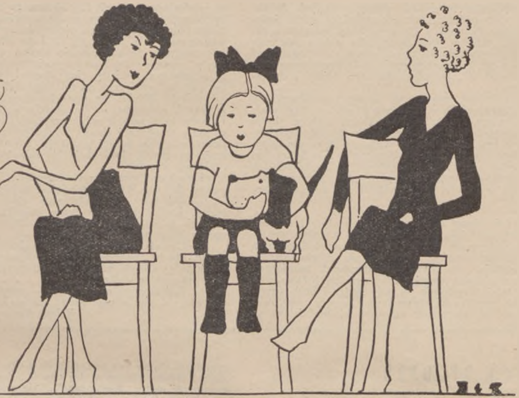
Bo oto na progu stała bardzo mała dziewczynka, podobna do wielkiej, jasnowłosej lalki i tuliła do piersi również małego szkockiego szczeniaka.

Lennert aż wstał i nie wierząc swoim oczom wpatrywał się w to dziwne zjawisko.

Tak samo zerwał się z miejsca zastępca sekretarza.

Pośród obecnych jedynie dziewczynka zachowała całkowitą równowagę ducha. Uważnem spojrzeniem szeroko rozwartych, bardzo niebieskich oczu ogarnęła dwu wielkich panów (musiała w tym celu mocno zadrzeć głowę do góry), poczem małą ręką pogłaskała pieska, którego czarne, podobne do paciorków, błyszczące oczka niespokojnie wpatrywały się w obcych ludzi i ostrożnie postawiła go na podłodze.

— Nie bój się, Puś — powiedziała bardzo dźwięcznym i zarazem cichym głosem.



Malemi nóżkami, obutemi w grube, sportowe buciczki i wysokie skarpetki, podeszła do Lennerta, grzecznie dygnęła i powiedziała swoim miłym głosikiem:

— Dzieńdobry panu, panie dyrektorze — Lennert machinalnie wyciągnął rękę i bardzo się zdziwił, poczuwszy w swej wielkiej dłoni tonącą malutką, pulchną, całą w dołeczkach rękę. Uścisnął ją też tak ostrożnie, jak gdyby była zrobiona z bardzo kruchego szkła.

— Jestem właśnie Alinka Dunajewska, czyli Serduszko. A to jest Puś. Pusiek, chodź tutaj podaj panu łapkę.

Piesek zbliżył się, posłusznie stanął na tylne łapki i przednią skrobnął leciutko pana dyrektora gdzieś w okolicach prawego buta.

— Chce się z panem przywitać — poważnie objaśniła dziewczynka.

Zastępca sekretarza miał na drugi dzień co opowiadać kolegom, bo oto groźny pan dyrektor, przed którym drżało ze strachu całe otoczenie, nagle pochylił swoją wielką postać i uścisnął łapkę Pusia. Młodzieniec przemilczał zresztą tę okoliczność, że identyczna ceremonja spotkała również i jego.

Lennert wreszcie wyszedł z oszołomienia.

— Czem mogę służyć hm... hm... panience?

Dziewczynka, milcząc, obejrzała się na coś. Dyrektor pogonił za jej spojrzeniem, które wyraźnie skierowało się w stronę wielkiego, skórzanego fotelu. To maleństwo dawało mu lekcje dobrego tonu!

Wesoły uśmiech zamigotał w tak zazwyczaj surowych oczach.

— Proszę, może pani będzie łaskawa spocząć? Służę pani fotelem — zwrócił się do niej z wyszukaną uprzejmością, tak, jakgdyby podejmował jakąś niesłychanie poważną damę.

„Pani" z całym spokojem skierowała się w stronę fotelu, którego ogrom na chwilę zdawałoby się, zdezorjentował ją, po chwili wszakże namysłu wdrapała się nań bez niczyjej pomocy. Piesek skoczył za nią. Starannie przygładziła jasne włosy poprawiła niebieską sukienkę i znowu spojrzała się na dyrektora, a potem poprowadziła jego wzrok na zastępcę sekretarza. Dyrektor natychmiast domyślił się o co chodzi małej osobie. Zwrócił się do młodzieńca z leciutko złośliwym uśmiechem i polecił mu pozostawienie go sam na sam z dziwnymi interesantami.

— Teraz może już pani swobodnie mówić. Słucham panią, panno Serduszko.

— Nie nazywam się właściwie Serduszko, tylko Dunajewska — odrzekł mały gość bardzo grzecznym tonem. — Alinka Serduszko jest bohaterką mojej ulubionej bajki „O Pierogu z Wisien i o Kucharczce ze Złotym Serduszkiem", pewnie pan zna tę bajkę. Bardzo mi się ta bajka spodobała i odtąd wszyscy mnie nazywają Alinką Serduszko.

— No dobrze, ale skąd pani wzięła wizytówkę, czy też może posługuje się pani wizytówkami postaci urojonej? — z największą powagą zapytał dyrektor.

W tem miejscu młoda dama leciutko zaczerwieniła się, w następnej jednak chwili znowu całkowicie opanowała się.

— Nie mam swoich własnych wizytówek — jestem jeszcze zbyt mała. Chciałam wziąć wizytówkę mojej mamusi, ale potem pomyślałam, że mamusia to przecież nie ja. Wycięłam więc nazwisko z książeczki z bajkami i przypisałam Pusia, bo przecież też przyszedł do pana dyrektora, to musiał się zameldować.

— A skąd pani wiedziała, że należy się meldować w ten sposób, chyba że nie jest to u pani pierwsza wizyta tego rodzaju?

— Przeczytałam w książce sawu... sawu... saw[illegible]r[illegible]

— Gdzie???

— To jest taka książeczka o tem, jak się należy zachowywać. Nianiusia kupiła ją w koszu za złotówkę, jak byłyśmy na spacerze, tam na okładce taka śliczna pani i piękny pan całuje ją w rękę.

— Może savoir vivre'u?

— Tak — skinęła jasną główką — sawar-[illegible]

Lennert z trudem powstrzymywał śmiech. Co za niezwykle zabawne dziecko!

Mała tymczasem bez najmniejszego zażenowania ciągnęła dalej:

— Nianiusia ma bardzo dużo książek, Sennik Egipski, Hrabiankę-Pomywaczkę, i Barbarę Ulbryk. Mamusia nie pozwala mi ich czytać, za to mogę czytać wszystkie książki panny Luli.

— Któż to taki, panna Lula?

— To ta właśnie pani, która ma pracować u pana.

— Co???

— Tak. Przecież panu jest potrzebna taka pani? Słyszałam, jak panna Lula rozmawiała o tem wczoraj wieczorem z mamusią, gdy leżałam już w łóżeczku. Mamusia ją namawiała, żeby poszła do pana, a ona powiedziała, że i tak nic z tego nie będzie, że nie ma żadnej protekcji, a to jest najważniejsze. Przecież jeżeli już panu jest potrzebna taka pani, lepiej wziąć taką dobrą, kochaną, miłą, śliczną, jak ona. No nie? Jest bardzo dobra; kiedy miałam szkarlatynę, siedziała przy mnie całemi nocami i pielęgnowała mnie i czytała mi bajeczki i pocieszała mamusię i zawsze stara się zrobić mi jakąś niespodziankę. Postanowiłam odwdzięczyć się jej i...

— I zaprotegować ją?

— Tak. Zaprotegować.

— No dobrze, ale kiedy nie znam ani pani, ani też pani protegowanej. Może zechce mi pani zostawić swój adres, wtedy zasięgnę informacji.

— Co to znaczy „zasięgnę informacyj"?

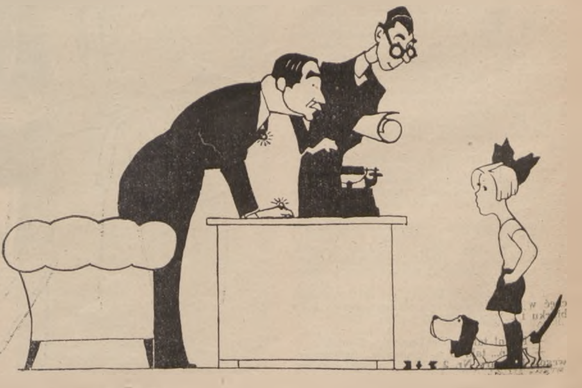
— To znaczy, że dowiem się u innych ludzi, czy ta pani może być dobrą urzędniczką.

— Aha, rozumiem. Mieszkam z mamusią i nianią w tym małym domku, który widać z pańskiego okna. A panna Lula mieszka u nas już dwa lata. Straciła posadę i bardzo jej się źle powodzi. Nikogo tutaj nie ma prócz nas. Więc rozumie pan, że ta posada jest dla niej konieczna. Będzie pan bardzo kochany, jeżeli jej pan da tę posadę i będziemy wszyscy pana strasznie kochać. Napewno nie pożałuje pan, jeżeli ją weźmie, bo jest najlepszą panną na całym świecie.

— Czyżby? — zdziwił się pan dyrektor. — No skoro, jak pani twierdzi, jest rzeczywiście takim cudem, zadowolnię się informacjami pani. Tylko jeszcze jedna sprawa mnie trochę niepokoi. Co będzie, jeżeli pani protegowana, „najlepsza panna na całym świecie", okaże się nieodpowiednią dla mnie urzędniczką. Kto mi wynagrodzi straty powstałe w związku z tem?

— O, proszę pana! Wynagrodzę je panu! Oddam panu wszystko, co mam: wieczne pióro, małą maszynę do szycia, pierścionek z perełką, dostałam go przed dwoma miesiącami na urodziny, gdy skończyłam sześć lat, książeczki z bajkami, piłkę, lalki i... — tutaj zawahała się przez chwilkę, ale natychmiast energicznie potrząsnęła jasnemi włosami — i Pusia (w tem miejscu piesek niespokojnie poruszył się i utkwił czarne paciorki oczu w małej pani).

— No skoro przedstawia pani do mojej dyspozycji tak poważne objekty... to myślę, że sprawa ta da się załatwić pomyślnie. Teraz wszystko zależy od protegowanej pani, jeżeli więc jej kwalifikacje zawodowe będą się przedstawiały tak dobrze, jak zalety duchowe, to znaczy, jeżeli jest tak samo... mądra, jak dobra — zostanie przyjęta.



Zdaje się, że jeszcze nigdy biurko pana dyrektora, zastawione pięknemi marmurowemi przyborami nie dźwigało tak dziwnego ciężaru, jak dwie małe nóżki w grubych buciczkach. To w każdym razie jest pewne, że po oświadczeniu swem, dyrektor inżynier Lennert z przyjemnem zdziwieniem poczuł, że szyję jego owinęły dwa małe, pulchne ramionka, a do policzka przytuliły się malutkie usteczka. Odruch ten nastąpił natychmiast po wypowiedzeniu przez dyrektora pamiętnych słów, a że najkrótsza droga była właśnie przez stół — z niej też skorzystała mała bezceremonjalna osóbka. Piesek, widząc to, zaczął skakać naokoło biurka i radośnie szczekać, skutkiem czego z zazwyczaj cichego, dostojnego gabinetu dyrektora, zaczęły się donosić tak dziwne dźwięki, że całe biuro znieruchomiało ze zdumienia.

Ale najbardziej chyba zdumiony był woźny, gdy pośpieszywszy na ratunek panu dyrektorowi, zastał go w najlepszej zgodzie z małem towarzystwem i gdy dyrektor kazał mu natychmiast nakryć stół na dwie osoby, pardon, na trzy, gdyż dla Pusia też postawiono spodek — i przytransportować z pobliskiej restauracji najwspanialsze śniadanie, jakie tylko można sobie wymarzyć. Pojęcia woźnego o wspaniałości sprawiły, że... śniadanie owe składało się z rozmaitych niesamowicie niedostosowanych do pory dnia przysmaków, jak czekolada z bitą śmietanką, kanapki z łososiem, lody, pasztet z zająca, ciastka oraz buteleczka mleka dla najmłodszego członka towarzystwa — zajadane zaś było przy towarzyszeniu radosnych poszczekiwań Pusia i wesołego śmiechu Alinki i dyrektora.

W tym czasie na tarczy sygnalizacyjnej, mieszczącej się w drzwiach dyrektora, zajaśniało czerwone światełko. Wszystkim osobom, które wówczas żądały połączenia z panem dyrektorem, czy też osobistego widzenia się z nim odpowiadano grzecznie, że niestety, w chwili tej jest bardzo zajęty, że niemożliwem jest jakiekolwiek skomunikowanie się z nim, gdyż czerwony sygnał wskazuje, że dyrektora nie można niepokoić.

* * *

Na drugi dzień w gabinecie dyrektora Lennerta siedziała panna Lula Berens, młoda szczupła, skromnie ubrana dziewczyna o łagodnym wyrazie twarzy. Wierzyć nie mogła swemu szczęściu: po kilku bezskutecznych miesiącach poszukiwania pracy, gdy straciła już wszelką nadzieję uzyskania jej, gdy nędza i brak wszelkich możliwości życiowych zaczęły doprowadzać do ostatecznej rozpaczy biedną dziewczynę — dostaje oto nagle list od samego dyrektora naczelnego GFG z propozycją zjawienia się u niego celem porozumienia się co do ewentualnej współpracy. Co za szczęście! I to wtedy, gdy już zwątpiła, że odmieni się kiedyś na lepsze, kiedy jedynie rady i słowa pociechy jej kochanej gospodyni budziły cień otuchy! Jakże teraz jest jej wdzięczna za to! I to kochane, drogie dziecko Alinka, ile pociechy przynosiło jej, znękanej, zmęczonej swym słodkim szczebiotem! I panna Lula zaczęła sobie przypominać o czem to może w obecnej chwili Alinka marzyć i wyliczać w myśli, co jej podaruje, teraz, gdy już może to zrobić, jakie książki, zabawki i inne rozkoszne rzeczy.

Dyrektor tymczasem przeglądał papiery panny Berens. Wreszcie podniósł głowę i rzekł:

— Od jutra już może pani stawić się do pracy. Osoba, która mi panią poleciła, wydała o pani jaknajlepsze referencje. Zdaje się, że opinja jej o pani była słuszna.

— Chciałam się właśnie pana dyrektora zapytać, kto to zainteresował się moim losem. Nie znam tutaj nikogo, ktoby to mógł uczynić, użyczyć mi swej protekcji.

— Zaprotegowało mi panią — zwolna rzekł dyrektor — jedno małe dobre serduszko...

Helena Kossowska



GASTON CH. RICHARD

CZAR SKRZYDEŁ

TŁOM. STEFANJA HEYMANOWA

(Ciąg dalszy).

Otworzyła jedną z szuflad biurka i wyjęła z niej butelkę wody kolońskiej, flakon perfum, pudełeczko z pudrem, pudełeczko z różem, rozmaite ołówki, kawałek skórki zamszowej, małe nożyczki do paznokci, słoiczek kremu, flakon „lait epidermique", mleczka, zachowującego świeżość cery, szczoteczkę do paznogci, paczuszkę listów, przewiązanych niebieską wstążeczką i jeszcze kilka drobnostek, które wrzuciła byle jak do swego fartucha roboczego.

Janka przyglądała się temu, z opuszczonemi rękami.

Jednocześnie spoglądała na wątpliwą czystość utlenionych włosów koleżanki, na jej poplamioną suknię i na wysokie, wykręcone obcasy. Widziała chude ręce o błyszczących paznokciach, wychudłe ramiona istoty źle się odżywiającej, biedną, zapadniętą twarzyczkę, przedwcześnie zwiędłą od używania tylu szminek, pudrów, kremów, które ta „męczennica szyku" — jak ją nazywały koleżanki — nabywała w najgorszych gatunkach po niskich cenach, na bazarach. Wolała raczej wyrzec się posiłku, niż pudełka pudru lub pomadki do ust.

Wreszcie Róża skończyła swe pakowanie i podała rękę Jance.

— Bez obrazy — rzekła.

W chwilę później, drzwi zamknęły się za nią.

Ażeby pozbyć się mdłego zapachu, wypełniającego pokój, Janka otworzyła naoścież wszystkie okna i stała przez chwilę ze skrzyżowanemi rękami, wdychając trochę ostre powietrze, które poruszało wokół jej twarzy ciemne pukle włosów.

Pełnemi płucami wdychała powietrze słonecznego poranka, a jasność dnia wypędzała z niej smutek, który ciążył na niej od poprzedniego wieczora. Przyglądała się nowym budynkom, które wznoszono na miejscu starych, spalonych hangarów.

I z uczuciem, w którem był żal i nadzieja, chęć wytrwania i rozczarowanie, zasiadła przy biurku i otworzyła teczki z papierami.

* * *

— Hallo! tak, panie Durand - Gardel..

— Hallo... [illegible] ja Lemonnier... Nie, nic nowego... Hangary Nr. 2 i 3 będą napewno w tym tygodniu. Mamy już wszystko do 4-ego... Na lotnisku? Niema nikogo w tej chwili... Zaczynamy montować motor „Kormorana"... Nie ruszy przed tygodniem. Jeżeli pan chce wyprawić go w drogę, szefie, sprawi to przyjemność całej ekipie.. Dobrze. Dobrze! Rozumie się! Dla personelu?.. Mam panu do zakomunikowania tylko powrót panny Janiny Bel du Colombel... Tak... Dzisiaj rano zaczęła pracować... Przepraszam... nie rozumiem... Co?.. Nic jej nie mówić na ten temat? Dobrze, dobrze, będzie tak, jak pan sobie życzy... Jest jeszcze blada, ale... Tego nie mówię... O, nie, nie jest wesoła, to było dla niej wielkie rozczarowanie taka niepewność... Nie.. Mnie by się skarżyła, ona?.. Sądzę, że możnaby ją wprzód zabić, zanim dałoby się z niej dobyć słowo skargi... Na Boga, szefie, niech pan wejdzie w jej położenie... Gratyfikacja... Mam poważne powody, ażeby przypuszczać, że jej nie przyjmie. O, jest tak, jak panu mówię.. Pan wybaczy, ale mam pewne dane, żeby mówić tak, jak mówię. Załatwione... Nie będę wspominał o tem wszystkiem... Dowidzenia, do jutra!..



I poczciwy Lemonnier zawieszając słuchawkę telefonu, westchnął głęboko i szepnął:
— Jednakże... Biedna Janina...

IV. SZEF.

Tego ranka cała fabryka brzęczała jak ul, w promieniach sierpniowego słońca. Ponad przytłumiony huk maszyn i głosy ludzi, wybijał się przeciągły, muzyczny dźwięk pracującego motoru, którego działanie sprawdzano właśnie na koźle probierczym.

Długie auto, czarno - błękitne, prowadzone przez doskonale prezentującego się szofera, zatrzymało się przed sztachetami. Trzy dźwięki klaksonu, zażądały kategorycznie otwarcia bramy. Stary Philippon, zajęty w swej loży czyszczeniem fuzji myśliwskiej, podskoczył trzykrotnie na ten odgłos i pośpieszył ku wrotom.

— Szef! — szepnął półgłosem.

Po otwarciu bramy, auto wjechało, zatoczyło na dziedzińcu piękne koło i zatrzymało się przed podjazdem... Pierwszy wysiadł Durand - Gardel, za nim szedł młody człowiek o pięknej postawie, noszący ze swobodą i elegancją, surowy uniform oficera marynarki wojennej.

— Pan Piotr! — powiedział stary portjer z radosnem zdziwieniem. — Kiedy przyjechali tu obaj, napewno będą jakieś nowiny i to dobre.

Lemonnier już schodził po stopniach schodów.

— Ach, szefie, to miła niespodzianka — rzekł. — Nie oczekiwaliśmy pana tak prędko.. Dzieńdobry, panie Piotrze — dodał, ściskając rękę młodego człowieka. — Pan jest na urlopie?

— Na przeciąg trzech lat, kochany Lemonnierku — odrzekł oficer. — I przez te trzy lata mam zamiar ciężko pracować, jak się pan domyśla — dokończył, śmiejąc się.

— Tak, tego jestem pewny — odrzekł Lemonnier, spoglądając na Klemensa Durand - Gardela. -- Kiedy panowie przyjechali?

— Wczoraj wieczorem — powiedział konstruktor. — Byłem jednak zbyt zmęczony, ażeby widzieć się z panem, ale dobrze spędzona noc znów przywróciła mi równowagę. A co tutaj słychać?

— Jaknajlepiej, zaraz pan sam zobaczy, szefie. Nowe budynki są urządzone i oświetlone. Zaangażowałem jeszcze 30 robotników... Wszystkie rysunki „Kormorana" wykonane są w naturalnej wielkości. A co do motoru, to słyszy pan pewnie, jak „śpiewa"?

— Tak — rzekł oficer — ale wolałbym bardziej jeszcze słyszeć, jak szczebioce tam, w górze.

Wzrokiem wskazał niebo.

— I na to przyjdzie czas —odrzekł Lemonnier. — przed upływem trzech miesięcy, poszczególne części będą ukończone... A na wiosnę będzie pan mógł go wyprowadzić, bez obawy.

Rozmawiając, trzej mężczyźni doszli do gabinetu dyrektora.

— Jestem zadowolony z tego, czego się od pana dowiaduję, kochany przyjacielu! — powiedział Klemens Durand Gardel, siadając na wygodnym klubowym fotelu. — Zaraz pójdziemy obejrzeć to, co pan stworzył i wynagrodzimy każdego, według zasług. A propos... czy panna du Colombel jest tutaj?

— Tak, szefie.

— Co mówi i co porabia?

— Nic nie mówi, proszę pana. Od miesiąca już powróciła do pracy... I zawsze jest taka sama: spokojna, sumienna, poważna. Wczoraj przetłumaczyła mi artykuł z angielskiego pisma sportowego, o nowych motorach, artykuł, który przeczytałem. Zrobiło to prawdziwie fachowo, pomimo technicznych trudności tekstu.

— Czy nie uskarżała się na to, co ma pełne prawo uważać za czarną niewdzięczność? — zapytał konstruktor.

— Nic... nie...

— No, stary, niech pan mówi prawdę. Widzę, że coś jest...

— Nie—odrzekł Lemonnier.—W dniu powrotu swego do biura, rzekła do mnie: „Pan Durand Gardel dał mi nadzieję, że marzenie moje zostanie spełnione. Może zaczął się nad tem zastanawiać i cofnął się przed odpowiedzialnością"...

— To wszystko?

— Tak, szefie. Proponowałem jej, że wspomnę o tem w rozmowie z panem, ale odmówiła, twierdząc, że nie chce ażeby pan choć przez chwilę mógł sądzić, iż w ten pośredni sposób przypomina o przyrzeczeniu i pragnie nagrody za swój czyn.

— Co jednak nie przeszkodziło panu to uczynić... — rzekł Durand - Gardel.

— Mówiąc prawdę, milczenie pańskie zdumiewało mnie... Więc... Wbrew obietnicy milczenia...

— Miał pan słuszność po tysiąckroć, kochany przyjacielu — rzekł szef z uśmiechem Ale niech mi pan wierzy, że o niczem nie zapomniałem A jeżeli nie odzywałem się w tej sprawie wcześniej, to tylko dlatego, żeby się przekonać, co sądzić o charakterze, sercu i umyśle tej dziewczyny. Zresztą... zasięgnąłem pewnych informacyj. I wszystko to sprowadziło mnie tutaj, z zamiarem, który, sądzę, nie będzie dla niej niemiły. Czy zechce pan poprosić pannę du Colombel, drogi Lemonnier.

Dyrektor wstał, skierował się ku drzwiom, oddzielającym jego gabinet od pokoju, w którym pracowała Janka, otworzył je i rzekł głosem, w którym brzmiał lekki przymus.

— Panno Janko... poproszę panią na chwilę.

Zasiadł znowu za biurkiem i prawie w tej samej chwili zjawiła się Janka z bloczkiem w ręce.

Klemens Durand - Gardel i oficer marynarki wstali gdy weszła. To samo uczynił Lemonnier.

Janka, zaskoczona, zatrzymała się na progu. Zbladła lekko.

— Proszę, niech pani wejdzie i zamknie drzwi — odezwał się konstruktor swym stanowczym tonem.

Janka usłuchała i podeszła bliżej.

Wyraz jej twarzy i oczów stał się surowszy. Skłoniła się lekko w milczeniu i stanęła przed trzema mężczyznami w niewymuszonej pozie podwładnej wobec szefów.

W tym momencie starała się wszelkiemi siłami być tylko urzędniczką i niczem więcej.

c. d. n

Paryżaneczka

Z cyklu „Dziewczęta całego świata".

Autor jest człowiekiem ciekawym. Jeśli nie może czegoś widzieć, stara się podsłuchać. A cóż dopiero autorka...

Gdy przeniosłam się do nowego domu na przeciw drzwi, na metalowej blaszce zobaczyłam dwie litery: A. G Tak wiele! W Paryżu tylko firmy wywieszają bilety i szyldy, osoby prywatne niczem się nie zdradzają na zewnątrz mieszkań. Na dole nie wisi tablica ze spisem lokatorów. Tajemnicy adresu nie podaje też biuro meldunkowe, tylko stróż lub bardziej jeszcze wszechmocna stróżka udziela informacyj, gdzie mieszka osoba, o którą gość, czy interesant się pyta.

Jakże więc mogłam wiedzieć, kogo mi los za sąsiadów przeznaczył! Choć łączyła nas wspólna ściana, dzielił cały świat! Ale że jestem ciekawa, więc zaczęłam obserwować życie obok mego płynące.

Co rano, z niezawodną punktualnością, kwadrans po siódmej, ktoś schodził kupić mleka i chleba. Po pewnym czasie kroki zdradziły mi, że jest jakaś kolejka, raz stukały buty, na drugi dzień uderzały kobiece wysokie obcasy, trzeciego zaś ranka prześlizgiwały się młodziutkie chyba bo ledwie schodów dotykające, stopy.

Więc pan, pani i panienka! Służąca nie przychodziła mi nawet na myśl, nie jest bowiem nieodzowną jak w Polsce, częścią domu. Chwilę przed ósmą panienka, śpiesząc się do szkoły, zlatywała, żegnana pocałunkami, koło jedenastej znów ją słyszałam, odmykała, długo i mozolnie na różne zamki i klucze zamknięte drzwi. Zostawiała widocznie książki i znów smyk na dół. Wracała inaczej, jak ktoś zmęczony dźwiganiem ciężaru, zwalniała bieg nóg. Raz podpatrzyłam. Lat może piętnaście, zgrabna, zręczna, ubrana skromnie, ale gustownie. Berecik na ładnie utrzymanych włosach. W wielkiej torbie sznurkowej przyniosła wszystko, czego francuz potrzebuje



na drugie śniadanie: głowę sałaty, na cały korytarz pachnący ser, wiele pomarańcz, metr bułki. Na dnie siatki schowało się mięso, które można przyrządzić na poczekaniu, jak całe zresztą śniadanie. Widocznie rola ta należała do panienki, gdyż za chwilę napełniając dom, własne — i moje — mieszkanie radosnym śpiewem: „A nous la liberte" z ostatniego filmu Rene Claire'a, krzątała się koło kuchni, ledwie czasem pracę jej zdradzał głośniej postawiony rondel. Kiedy wybiła godzina powrotu do szkoły, a południowego odpoczynku rodziców pracujących w biurze, wszystko musiało być gotowe do spożycia gdyż oni nic ze sobą nie przynosili (wino zawsze było w piwnicy, raz na tydzień, cały kosz, przysyłała firma Nicolas)

Koło czwartej moja nieznajoma była już z powrotem Skoro przyszła wiosna widywałam ją o tej godzinie na sąsiadującym z moim balkonie, zasiadała z książką do nauki lub słuchając radja, robiła jakąś szydełkową robotę. Co chwila wstawała przyjrzeć się kwiatom, które niedawno posadziła, czy już urosły i czy jutro zakwitną. W dnie, w które posługaczka nie przychodziła, ona ją zastępowała, urządzając małe sprzątanie: trzepała poduszki z kanapy, serwetki, zamiatała i w takt foxtrota, wygrywanego przez gramofon, czyściła na suknach podłogę.

W sobotę wieczorem cała rodzina chodziła do kina, w niedzielę zaś popołudniu na spacer. Nie wiem, czybym ją spotkawszy — poznała. Obie z matką musiały ubrać się odświętnie, jak przystoi Paryżankom, na zewnątrz reprezentujących elegancję swego miasta.

Nieraz wracała późno wieczorem, pewno bardzo wesoła i zadowolona, bo słyszałam naprzemian jej śpiew, śpiew radja, gramofonu, a nawet śpiew jej kanarka, któremu z uciechy spać nie dawała. *Aura Wyleżyńska, Paryż 1933*

WISŁA

W dawnych, dziecinnych czasach mieszały się często trudne nazwy i pojęcia. Nie można było odróżnić obcych słów „wino" i „piwo", „złoto" i „srebro", „Petersburg" i „Moskwa", „Paryż" i „Berlin" — istniały niewiadomo gdzie i zawsze się przez to myliły, a słowo „rzeka" i słowo „Wisła" znaczyły rzecz dobrze znaną, ale znaczyły zupełnie to samo.

Wisła to była rzeka, skąd mogliśmy podejrzewać, że istnieją jakieś rzeki nie-Wisły na świecie? Wisłę można było widzieć z okien - blado-niebieskim rąbkiem prześwitującą między dachami kamienic warszawskich. Wisła pluskała nieustannie, szara i szeroka za krawędzią kamiennego bulwaru. Wisła topiła w sobie nocą lśniące smugi odbić miejskich latarni.

Z wysokiego brzegu Bielan można było ogarnąć szeroki zasięg jej rozlewiska, białe piachy i zmącone wiry, a na Saskiej kępie nie było wtedy domków, willi i plaży miejskich, ale tylko drzewa na zielonym brzegu i woda nie odgrodzona żadnym płotem, ani drutem, przychodziła swobodnie [illegible] brudnym [illegible] mułem i ziarnistym piachem do rąk i obmywała bose stopy.

Wisła była ciepłym, św[illegible] powiewem, [illegible]wo-niebieską [illegible] chłodnem dotknięciem fali, śliczną ozdobą dziecinne[illegible]

Potem przyszły jedne i drugie wakacje, drogi wybiegły z miasta na południe i północ i okazało się, że jest więcej rzek na świecie. Dunajec i Niem[illegible] Ren, i Dunaj i Po...

Niedługo, okazało się zresztą, że Wisła bywa rozmaita, zależnie od tego gdzie ją spotkamy, i że nietylko z okien naszego mieszkania i z pomiędzy kamieniczek warszawskiego Starego Miasta i z wież starych kościołów, stojących na ulicy Krakowskie Przedmieście można się nią zachwycać.

Bo pięknie wygląda pod Krakowem, z Wawelskiego wzgórza nieszeroka, świecąca blado wśród zieleni podmokłych błoni, tak jak ją namalowali miękkim pastelem malarze — Wyspiański i Wyczółkowski.

I wspaniale rozlewa się między krawędziami dwóch wyżyn: sandomierskiej i lu[illegible]

Nieokiełznana i groźna rozdziela się tam czasami w dziesiątki koryt i prądów, kipi wśród kęp porosłych wikliną, gdzie piszczą w białym piachu młodziutkie rybitwy, zagarnie brzegi porosłe śliwkowemi sadami i sięga wodami małych brudnych uliczek miast Sandomierza, Kazimierza, Puław, miast niegdyś pięknych, sławnych i bogatych, gdzie teraz w starych rzeźbionych kamienicach bytuje małomiasteczkowa nędza.

I znowu inaczej wygląda, ujęta w uregulowane mocne brzegi pod Toruniem i Bydgoszczą i Gniewem i Tczewem — wszędzie tam, gdzie wielkie krzyżackie kościoły z czerwonej cegły stoją na wzgórzach, jak groźne wspomnienie średniowiecza, a miasteczka są zagospodarowane po niemiecku, czysto i brzydkie, a na wodzie ciągną się łańcuchy obładowanych tratew.



...przyszły jedne i drugie wakacje...

„Płynie Wisła, płynie po polskiej krainie..." — mówi piosenka.

„Oj, koniu mój, oj, koniu mój siwy, przepłynąłeś Wisłę, nie zmoczyłeś grzywy" — mówi inna [illegible]senka.

„Wisło, Wi[illegible] szara rzeko..." — mówi jeszcze inna piosenka.

„Z tamtej strony Wisły kąpała się wrona"... — mówi jeszcze czwarta.

Policzmy... W ilu piosenkach, w ilu opisach powtarza imię Wisły od najdawniejszych czasów aż po ostatni dzień. Ile obrazów stara się odtworzyć jej kolor, jej prąd, daleki mglisty łuk jej biegu, nadbrzeżny piach i zielone kępy i wzgórza, na których pobudowano wsie i miasta.

W ilu miejscach dalekich i bliskich od gór aż do morza, stawaliśmy na jej brzegu, patrząc z zachwytem na fale, niziutko łamiące się u naszych stóp, na szare, drewniane łodzie pychowe, przewrócone do góry dnem, na sieci, suszące się niedaleko zarośli wiklin, na bydło pojone w



...Pływaliśmy rozmaitym sposobem...



...Wśród kęp, porosłych wikliną...

„Płynie woda z Wyszogroda od samego Śląska..." — mówi piosenka.

Jakże inaczej wygląda naprzykład ta [illegible] Śląsku, a jakże inaczej w Wyszogrodzie. Na Śląsku jest burzliwą, małą rzeczką, której siwy prąd skacze wśród górskich brzegów, wśród kamieni, korzeni drzew, wśród pachnących traw i kwiatów. Można ją przebyć wbród, skacząc z kamienia na kamień i można ją pomylić z wieloma innemi, bujnemi strumieniami, które wypływają ze śląskich źródeł, nie poto, by dopłynąć w postaci szerokiej, wielkiej rzeki aż do Gdańska i do morza. Pod Wyszogrodem jest znowu tak bardzo szeroka. Po lewym brzegu zlew[illegible]ka Bzura i obie te rzeki przecina długi, drewniany most. Wody leniwe i gładkie łączą się ze sobą łagodnie i jak lśniąca, niebieska polewa, pokrywają obszar tak wielki, że miasteczko Wyszogród, piętrzące się na prawym brzegu, wydaje się nam podobne do dziecinnej zabawki. Dopiero podjechawszy bliżej widzimy z naszego mostu domy i domki różnokolorowe, drewniane, krzywe, piętrzące się na stromym brzegu, uliczki, lecące stromo wgórę i wdół, stare kościoły i pomalowaną na różowo wielką bóżnicę na wzgórzu.



Wisła szeroka...



— „Wisło, Wisło szara rzeko..."



...pływaliśmy zwinną motorówką...

zmąconych zatoczkach. Ile razy patrzyliśmy na Wisłę, podobną z góry do połyskującego węża.

Na Wawelu i w Sandomierzu, koło odwiecznego kościoła św. Jakóba z czerwonych romańskich cegieł, skąd widać poza niebieską smugą rzeki, kościoły Tarnobrzegu i Dzików, i pola, i lasy nad brzegami Sanu.

I z promenady płockiej, która sterczy wysoko nad wodą, jak obrywiste zbocze, i z której widać daleko szmat Mazowsza, ujęty w zwinięte uściski wielkiej rzeki.

I z pod średniowiecznej wieży „Klimek" w Grudziądzu, wznoszącej się nad farą, staremi śpichrzami i mnóstwem czysto wybrukowanych ulic i czerwonych dachów.

A w ilu miejscach, stawaliśmy na mostach mocno zamkniętą klamrą łączących dwa brzegi wiślane? W Skoczowie, gdzie żwirzaste dno spiętrza się mieliznami pomiędzy wartkiemi strumieniami wody i na brzegu stoją ślązaczki w haftowanych czółkach i szerokich spódnicach.

I w Puławach, gdzie szeroka, rozbuchana, nieujęta w żadne karby przerwała się Wisła pod wspaniałym parkiem książąt Czartoryskich, i gdzie zamiast wytwornych dam, poprzebieranych za pasterki, chodzą teraz chłopki lubelskie w granatowych zapaskach i żydówki w kunsztownych perukach. I w Toruniu, gdzie za krawędzią kamiennego bulwaru płynie woda szara i spokojna, a u [illegible] bram i pod kościołami o wysokich gotyckich wieżach rajcują pomorskie kumoszki w czarnych słomkowych kapeluszach, sterczących płasko na czubku głowy.

Gdzieżeśmy to nie bywali nad tą Wisłą? W Dęblinie, gdzie spływa w jej koryto podlaski Wieprz i w Modlinie, gdzie ogromne wody połączonych Narwi i Bugu wrzynają się niebieską falą w płowość wiślanego nurtu i pod Bydgoszczą, gdzie sprawne śluzy kanału bydgoskiego razem z wodą spuszczają na wielką rzekę statki z Warty i z Noteci.

Pływaliśmy po tej wodzie także rozmaitym sposobem. Więc i parostatkiem białym, zakopconym, który tak często osiada na mieliznach i tak leniwie lawiruje między tykami, które wskazują kierunek prądu wśród wirów i kęp. I warczącą zwinną motorówką i skrzypiącą dulką na dwie pary wioseł i kolorowym kajakiem i żaglówką i wreszcie zwykłą łodzią pchaną jednem długiem wiosłem. Pływaliśmy w jej żywym nurcie, sami bijąc rytmicznie ramionami i nogami wodę chłodną gładką i niepowstrzymaną w swym wiecznym biegu. I dlatego znamy ją tak dobrze. O wszystkich porach roku i dnia. w tak wielu miejscach jej przepływu. Znamy ją wzburzoną i łagodną, czarną i burą, daleką na odległość spojrzenia i blizko napływającą do [illegible]

Grecka legenda mówi, że człowiek umierający musi przebyć w chwili zgonu wodę rzeki Lety, przez którą przewozi go na łodzi stary Charon. Tego Charona wyobrażam sobie zawsze z białą, długą brodą, zupełnie podobnego do przewoźnika u promu w Kazimierzu nad Wisłą. I myślę także, że jeżeli naprawdę istnieje ta Leta, to przybywszy nad nią będziemy już bardzo starzy. Może wrócimy wtedy, jak zwykle przed śmiercią, do czasów i wspomnień dzieciństwa, może tak jak wówczas, będziemy myśleli, że istnieje tylko na świecie jedna rzeka. I wtedy śmiertelny nurt powitamy dawnym, blizkim, dobrze znajomym [illegible]niem wszystkich rzek „Wisła".

Hanna Mortkowiczówna



...na mostach zamkniętą klamrą łączących dwa brzegi wiślane...



KĄCIK HARCERSKI

Przystępując do redagowania naszego „Kącika Harcerskiego" przeznaczamy go dla wszystkich, kogo interesuje nasz „Świat". Czynimy to nietylko ochoczo, ale i z wielką radością dlatego, że przez to wypełniona zostanie jedna z ważnych luk. Wejdziemy jednocześnie w żywszy kontakt z wieloma Czytelniczkami naszego pisma. Liczymy, że z naszego kącika będzie promieniowała ideologja harcerska, że będziemy mogli służyć wiadomościami i informacjami. Liczymy, że nasza praca choć cokolwiek ułatwi harcerstwu zadanie przysporzenia duchowo i fizycznie silnych jednostek. W naszym kąciku będziemy skupiać się i wzmacniać w zasadach prawa harcerskiego, aby się stać w końcu jedną z tych wielu cegiełek, które tworzą tężyznę narodową, tężyznę spotęgowaną do najwyższych, osiągalnych granic. Z naszego kącika będziemy starali dać się poznać, gdyż starsze społeczeństwo nas nie zna. Będziemy zadowoleni, gdy nam się to uda.

UCZMY SIĘ WIĄZANIA WĘZŁÓW.

Rzadko kiedy można spotkać typ harcerki któraby mogła się pochwalić całkowitą umiejętnością wiązania węzłów. Węzły, szczególnie w technice harcerskiej kobiet, zeszły do roli kopciuszka. A przecież potrzeba dnia codziennego, wprost narzuca się z koniecznością zapoznania się z tą sztuką.

Węzłów używa zarówno żeglarz, jak pionier, ratownik i turysta: potrzebne są w obozownictwie i przy niesieniu pomocy, zarówno na lądzie, jak i na morzu, a nawet i w powietrzu. Wyobrazić sobie mogę, że jeszcze mężczyzna może się obyć bez znajomości tej sztuki, przy obecnym stanie specjalizacji zawodowej, ale żeby kobieta nie posiadała tej znajomości. jako gospodyni domu, matka, i chociażby jako zaradny człowiek, to trudne do zrozumienia. Ideał harcerski, to nie typ damy niezaradnej, ale kobiety, dzielnego człowieka, który w potrzebie na nikogo się nie ogląda, ale we wszystkiem i zawsze liczy tylko na siebie. Więc uczmy się sztuki wiązania węzłów, bo umiejętność ta potrzebna jest w wagonie, w sklepiku, na targu i wszędzie, a czasem i w bardzo poważnej chwili może się przydać.

DZIEŃ 22-go LUTEGO

W tym dniu urodziła się Lady Baden-Powell i gen. Lord Baden-Powell. Skautki całego świata przyjęły dzień ten jako dzień swojego święta.

W Charbinie po pewnym zastoju podjęto na nowo pracę nad zorganizowaniem harcerstwa. Istnieje drużyna, gromada zuchów i starszych harcerzy.

Francja. Przeszło tysiąc harcerzy polskich jest zorganizowanych w czterdziestu jednych drużynach w trzydziestu kilku środowiskach. Drużynami temi opiekuje się dwadzieścia pięć Kół Przyjaciół Harcerstwa. Praca idzie dobrze w porozumieniu z Warszawą, pod opieką polskich placówek zagranicznych.

ZLOT SKAUTÓW RUMUŃSKICH.

W górach karpackich, w miejscowości *Dumbrama Sibin,* w miesiącu lipcu b. r. odbędzie się II-gi narodowy zlot skautów rumuńskich Związek Harcerstwa Polskiego otrzymał zaproszenie na wymieniony zlot. Reprezentanci naszego harcerstwa wyruszą na II-gie Jamboree rumuńskie pod komendą dh. hm. Aleksandra Szczęścikiewicza, komendanta chorągwi Lwowskiej, który z dh. hm. Ignacym Wolkowiczem ma razem zorganizować całą wyprawę. Na zlot wybierają się drużyny z chorągwi lwowskiej, krakowskiej i warszawskiej. Mają to być drużyny doborowe, sam kwiat naszej młodzieży harcerskiej.

Podobno władze rumuńskie robią wszelkie ułatwienia byle tylko jambo wypadło wspaniale. Organizatorzy zapewniają tanie wyżywienie, zniżki kolejowe i t. p.

O naszą reprezentację bądźmy spokojni. Główna Komenda Z. H. P. nie przeoczy niczego, co może podnieść nas w oczach naszych sąsiadów. Zresztą nazwiska dhów Szczęścikiewicza i Wolkowicza są dostateczną rękojmią.

JAMBORCE NA WĘGRZECH.

W 1933 roku wraz ze Zlotem skautów węgierskich odbędzie się VII-ma międzynarodowa konferencja skautowa w zabudowaniach starożytnego węgierskiego zakonu premonstrantów. Dla pragnących mieszkać pod namiotami będzie przygotowany obóz w parku klasztornym.

Za jednostkę zlotową przyjęto drużynę z 35 skautów.

DOŻYWIAJMY PTAKI!

Tak piękna jest zima! Śnieg posypał grubo nierówności terenu, szron obielił drzewa, a lód pokrył gałęzie koronką stalaktyków. Mróz odświeżył powietrze, jest ono czyste, bez pyłu. Niema to jak zima, wołają narciarze, saneczkarze i łyżwiarze. Tak, zima jest piękna i pełna swoistego uroku, ale tylko dla ciepło odzianych, ogrzanych i sytych. Spytajmy się jednak biedaka lub bezdomnego o zdanie, a wypowie nam szczerą prawdę, że zima jest straszna, mróz przenika do szpiku kości w chłodnej izbie poddasza, sutereny lub baraku. Nieszczęśliwy otula się w łachmany i rozgrzewa się wyżebranym jadłem. Człowiek biedny dotkliwie odczuwa okropności zimy. Człowiek jednak może się skarżyć i w rezultacie otrzymać pomoc od innych ludzi. Zima jest straszniejsza jeszcze dla niemych stworzeń, dla ptaków. „Jakto ptak jest niemowa? On śpiewa, on krzyczy". Ptak syty śpiewa i raduje się w lecie, głoduje zaś i milczy w zimie. Karmy więc ptaszęta w zimie na oknie, w ogrodzie, w polu i gdzie kto może.

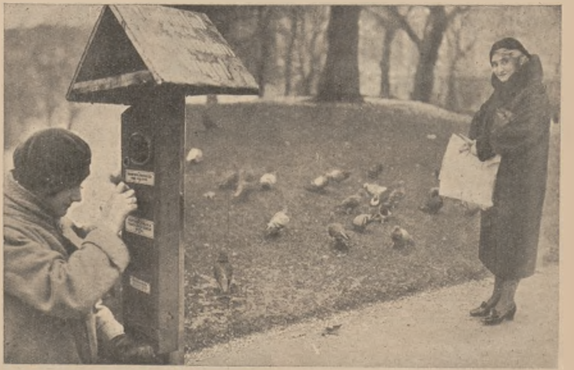
Zasadniczo dożywianie ptaków dzieli się na: okienne, ogrodowe i polne. Podział ten jako sztuczny ma w wielu wypadkach formy przejściowe. Rozpatrzymy jednak tylko trzy zasadnicze typy.

Dożywianie okienne. Na okno domu położonego daleko od ogrodów przylatują tylko gołębie i wróble. Pokarm sypie się im do korytek, gdyż z pochyłego daszku spada on szybko na dół. Na korytka przeznacza się pokrywy od płaskich pudełek, lub też robi się je z desek, brzegi których otacza się listewką wysokości dwu centymetrów. Karmiki nie powinny być mniejsze od powierzchni dłoni i w takiej ilości, by zapobiegały kłótniom. Korytka przymocowuje się do haczyków wbitych w futrynę by zapobiec upadkowi. Wróble karmi się prosem, kaszami, siemieniem konopnem i wszelkiem zbożem. Miękkie pokarmy jak gotowaną kaszę i drobioną bułkę wydziela się w małych ilościach, by zapobiec zakwaszeniu. Zdziczałe uliczne gołębie jedzą chętnie powyższe pokarmy i prócz tego gotowane kartofle, kukurydzę, groch, kluski, okrawki od sera, a nawet mielone gotowane mięso. Należy wystrzegać się karmienia chlebem, gdyż chleb kiśnie już w przewodzie pokarmowym. Od kilku lat nadmiernie rozmnożone kawki rabują pokarm miękki, przygotowany nie dla nich.

Dożywianie ogrodowe. W warszawskich ogrodniczych sklepach sprzedają specjalne karmiki dla ptaków. Są one dobre, ale za drogie, więc opiszę najprostsze karmiki, które każdy sam sobie łatwo wykonać może z byle pudełka. W tym celu nabywa się w najbliższym sklepiku lub mydlarni tanią, drewnianą paczkę i przerabia się ją w ciągu pół godziny na wygodny karmik. Nabytą skrzynkę układamy na stole na dłuższym jej boku otworem nawprost siebie i odbijamy jej krótszy bok z prawej strony. Pozostaje więc u skrzynki tak leżącej tył, wierzch i spód powstałe z dwuch boków dłuższych i pozostały lewy bok krótszy. Teraz należy skrzynkę pomalować wewnątrz i zewnątrz na kolor szaro - zielony. Model takiego prostego karmika znajduje się w Tow. Op. n. Zw. przy ul. Wiejskiej Nr. 18. W ogrodzie karmik przymocowujemy do pnia drzewa lub przybijamy do pala na wysokości 1 i 1/2 do 2 metrów, tak, by jego otwarte strony skierowane były na wschód i południe. Przestrzeń pod karmikiem zabezpiecza się kolącemi gałęziami tarniny przed kotami. Wnętrze karmika zastawia się płaskiemi korytkami wykonanemi z resztek kupionej skrzynki. Do każdego z nich wsypuje się inny pokarm, a więc: siemię konopne, słonecznik, kanar i rzepak. Najczęściej odwiedzają karmiki różne gatunki sikor, kowalik, wróbel polny rzadziej zaś dzwoniec, czyż, szczygieł, zięba, grubodziób i t. p. Obok karmika zawiesza się grona jarzębiny i bzu lekarskiego dla gili, kwiczołów i kosów. Dla sikor w kubeczkach łój i t. zw. pokarm tłuszczowy.

Dożywianie polne. W pobliżu krzewów lub drzew pola wyrównywa się teren na przestrzeni 8 miu metrów kwadr. i stawia się tam na niskich półmetrowych nogach stół przynajmniej wielkości metra kwadratowego, zrobiony ze starych desek nie wzbudzających swą barwą strachu. W karmiku tak prostym sypiemy wprost na ziemię nasiona różnych zbóż i liście siekane kapusty. Na stole stawia się niekiedy karmik ogrodowy dla ptaków delikatniejszych, do którego sypie się oprócz powyższych ziarn też rzepak i siemię lniane. Zwabiamy ptactwo do karmika sypiąc drożynę z pola w jego kierunku plewami i ziarnem. Karmik polny odwiedzają ptaki żerujące na ziemi to jest kuropatwy, zimujące skowronki, potrzeszcze, dzierlatki, trznadle i t.p. Wszystkie trzy rodzaje karmików należy co dzień omiatać, zaopatrywać w pokarm i strzec przed kotami, jastrzębiami i ptasznikami. Pamiętajcie, iż teren w promieniu stu metrów od domu jest zwolniony od polowania. Pokarm dla ptaków nabywać można w T. O. n. Zw., Wiejska Nr. 18.

Janusz Wirg. Bieganiski.









Palto o charakterze sportowym. Kołnierz i mankiety stebnowane. Kieszenie z odciętym przodem

Kostjum z gładkiej jasnej wełny. Żakiecik lekko wcięty z paskiem. Kołnierz i mankiety z aksamitu.

Płaszcz z grubej wełny, przybrany stebnowaniem. Kieszenie na wierzchu, kołnierz pod szyję. Odpowiedni dla dorastającej panienki.

Kostjum z dwóch materjałów. Żakiecik z gładkiej wełny, przybrany jasną stebnówką i jasnemi guzikami. Spódniczka w kratę skośną. Dla dorastającej panienki.

BIAŁA AZALJA

Och, dziewczynki moje kochane, jakże wam się wstać nie chce! Jest ciemno. Oczy się zamykają rano, gdy się wstaje. Jest zimno. Głowa ciąży i tuli się do miękkiej poduszki. Kołdra ciepło otula. W takiej sytuacji zerwać się na równe nogi jest niemal bohaterstwem.

Wyobraźcie sobie, że w roku 1863-im, w roku Powstania Styczniowego, w wiejskim dworku mieszkała dwunastoletnia dziewczynka, której moskale spać nie dawali. I jeść nie dawali. Zamknęli ją w zimnym, nieopalonym pokoju na długie dnie i noce bez łóżka i miękkiej, ciepłej pościeli.

Spało niebożątko w fotelu. Ledwo się oczy przymknęły... ktoś wchodził w wielkich, skrzypiących buciarach, z karabinem w ręku i potrząsał nią. Pochylała się nad dziewczynką dzika, sołdacka twarz w wielkiej, baraniej czapie i ręce czerwone od mrozu podnosiły ją brutalnie i stawiały chwiejącą się na nogi.

Pytano ją.

Nie odpowiadała. Gdyby powiedziała, jak tu, w tym dworze spiskowano przez długie miesiące; jak szykowano tu konspirację powstaniową — byłaby wolna. Gdyby pokazała, gdzie ojciec tajne papiery chował i gdzie zakopano w ogrodzie broń powstańczą. Gdyby powiedziała, kto z sąsiedztwa należał do spisku. Gdyby...

Byłaby wolna.

I mogłaby spać do woli w miękkiem łóżku. I jeść. I ogrzać się nareszcie!.. Ale... gdyby powiedziała — setki ludzi poszłoby pod rozstrzał, na stryczek, jak Traugutt. Ale, gdyby powiedziała — setki ludzi wysłanoby na Sybir!

Więc dziewczynka milczała i nic z niej nie wydobyto, pomimo męki i tortur.

Było to siedemdziesiąt lat temu, [illegible]

Dziś staruszka liczy 82 lata. Jest Weteranką! Doczekała się Wolnej Polski i radości. Doczekała się was, moje dziewczynki kochane, co w tej Wolnej Polsce żyjecie szczęśliwe, nie znając obcych rządów, obcej mowy i obcej nauki.

Doczekała się was, które nie słyszycie strasznych słów w nocnej głuszy i nie widzicie sołdackiej twarzy, pochylonej nad waszem... [illegible]

Polski dwór stoi cicho wśród zasp sn[illegible]

Polski dwór. Polska wieś — wywalczona, wydarta obcym, nasza! Czy umiecie to ocenić, moje kochane, tak jak to ceni 85-letnia staruszka?

Okazuje się, że umiecie to ocenić. W rocznicę powstania uczennice gimnazjum na Żoliborzu wsiadły do tramwaju z wielką białą azalją. Na ulicy Wspólnej mieszka staruszka-weteranka... Właśnie ta dawna dziewczynka co jej spać nie dawano. Zza białej azalji uśmiechnie się wdzięcznie do młodych waszych twarzyczek i opowie im, jak to w głuchą, ciemną noc, zbierano się, radzono i przygotowywano walkę o wolność... Wiatr wył za oknami i śnieg sypał wielkiemi białemi płatami. Takiemi białemi, jak płatki tej azalji, co stoi teraz na oknie.

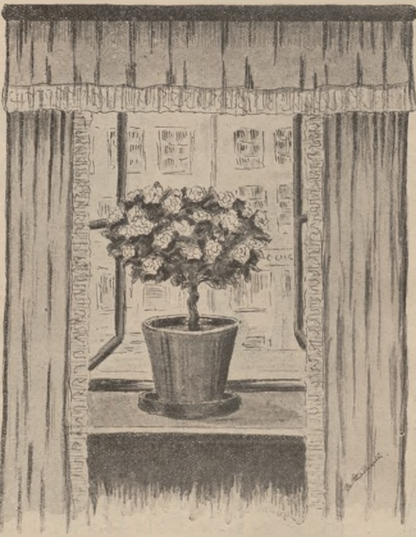
Uśmiecha się do was staruszka. I wy się uśmiechacie do niej przez łzy... Czy byłoby to dziwne, gdyby która z was powiedziała:

— Dziękujemy pani za wolność?..

Chyba nie. Bo przecież staruszka ta kiedyś była żołnierzem walczącym, żołnierzem hartownym, który obronił, ocalił swem bohaterskiem milczeniem walczących o wolność powstańców!

Na ulicy Wspólnej kilka tygodni temu do małego pokoiku pełnego starych portretów, starych mebli i dawnych wspomnień weszła młodość, niosąc kwiaty i wdzięczne serce... Jakie to było piękne!..

Janina Wyczółkowska-Surynowa



ORGANIZACJE UCZNIOWSKIE

PRZEPISY A PRAKTYKA

Zebranie organizacyjne było bardzo gorące i aż burzliwe... Twarz przewodniczącej już po piętnastu minutach płonęła purpurą. Nic dziwnego! Biedna ósmoklasistka ledwie mogła dać sobie radę z zapisującemi się do głosu, z przerywaniami, z dyskusją bezładną, a namiętną... Projekt pędził za projektem i coraz-to coś nowego pakowano do statutu. Rozbudowano go tedy znakomicie, sekcyj natworzono wiele, godności odpowiednio do tego też niemało.

W szkole zapanowała przez pewien czas cisza. Wszyscy oczekiwali teraz czynów. Tymczasem minął jeden miesiąc, potem drugi, a życie samorządowe jakoś nie nabrało spodziewanego rozpędu.

Dlaczego? Gdzie szukać tajemnicy?

Gdy zwracano się do władz, te odpowiadały tak mgliście, że niesposób było dość, gdzie tkwi istotna przyczyna senności samorządu. Przewodniczące sekcyj pomawiały o lenistwo przewodniczącą samorządu całej szkoły, ta zaś tłumaczyła, że to prezeski poszczególnych klas spoczęły na laurach, tamte zkolei mruczały coś na sekretarki i t. d., i t. d.

Co robić? Jak złemu zaradzić?

Mam wrażenie, że dość prosto. Należy zwołać ogólne zebranie zarządu i zastanowić się nad tem, czy rzeczywiście wina leży po naszej stronie, czy też może statut został zbudowany na wyrost.

Życie społeczne bardzo często wymaga ujęcia go w pewne łożyska, ale trudno zgóry zmuszać je do płynięcia tam, gdzie wcale nie ma zamiaru.

Przenosząc to na konkretny grunt szkolny, trzeba zastosować stare polskie przysłowie, które powiada, że tabakiera jest dla nosa, a nie nos dla tabakiery, czyli, że życie stwarza kierunek i rozwój samorządu, a nie odwrotnie.

Istnieje, przypuśćmy szkoła, w której samopomoc naukowa jest zbędna. Może dlatego, że wszystkie uczennice wyższych klas stoją na jednym mniej więcej poziomie, może dlatego, że brak zdolnych korepetytorek, lub czas nie pozwala — wszystko jedno, nie wchodzimy narazie w przyczyny zjawiska. Zebranie ogólne postanowiło jednak stworzyć samopomoc naukową. Sekcja egzystuje, władze wybrane.

Ogół, który wie o tem, a nie dostrzega działalności — krytykuje i zrzędzi. Głosy te dochodzą do przewodniczącej sekcji. Rozpacz! Ona przecież chciała jak najlepiej, rwała się do pracy, a nic z tego nie wyszło. Rezultat — wyrzuty sumienia, lub utrata wiary w swoje siły i zdolności.

W takim wypadku nie pozostaje nic innego do zrobienia, jak zwinąć niepotrzebne sekcje, co naturalnie pociągnie za sobą zwinięcie kilku stanowisk. Nic to jednak nie szkodzi. Zbyt wielka ilość godności w samorządzie nie jest wskazana z wielu względów, a już choćby dlatego, że ona to często stwarza ową senność. Jedna koleżanka ogląda się na drugą i w rezultacie wszystkie niewiele robią.

Zarząd klasowy powinien składać się z trzech, najwyżej czterech osób: przewodniczącej, sekretarki, skarbniczki. Sama przewodnicząca może wziąć na siebie obowiązki zadbania o porządek i estetyczny wygląd klasy. Gdy uważa, że temu nie podoła, może to wykorzystać t. zw. gospodyni klasy i wtedy mamy czwartą godność.

Co się tyczy sekcyj, najlepiej jest, gdy obejmują one całą szkołę, a nie poszczególne klasy, i podlegają bezpośrednio przewodniczącej samorządu ogólno-szkolnego, pewna bowiem centralizacja w życiu szkolnem jest niezbędna.

J. Waśniewski.

SPORT









Bronek Czech na nartach.

BRONEK CZECH ZNOWU PIERWSZY

Bronisław Czech, chluba naszego narciarstwa, od chwili przyjazdu z Olimpjady, a więc już prawie od roku, nie startował w swojej specjalności, w narciarskim biegu złożonym (wspólna punktacja biegu 18 klm. i skoków). Mówiono dużo o tem, że zamierza się wogóle wycofać ze sportu, co byłoby dla naszego narciarstwa stratą niepowetowaną. Mówiono także o tem, że Czech już dzisiaj nie przedstawia tej wartości, co dawniej. Mistrzostwa Podhala w narciarstwie rozwiały jednak te pesymistyczne przewidywania. Bronek stanął na starcie i znowu zwyciężył wszystkich najgroźniejszych swoich konkurentów, będąc pierwszym w biegu i drugim w skokach. Tuż za Czechem znalazł się młody Marusarz, wschodząca gwiazda naszego narciarstwa.

Obaj ci narciarze i paru ich najwybitniejszych kolegów, startować będą w Innsbrucku na mistrzostwach Europy, gdzie niewątpliwie wstydu nam nie przyniosą. . Niestety, zabrakło funduszów, aby wysłać również nasze panie. Smutna ta decyzja jest zresztą słuszna i z innych względów. Polskie narciarki przedstawiają niewątpliwie olbrzymią klasę w narciarskim biegu o charakterze wyścigowym, jednak ta konkurencja mało jest zagranicą popularna. W Innsbrucku odbędzie się tylko bieg zjazdowy dla pań, a tutaj nasze zawodniczki mniejsze mają szanse na zwycięstwo, gdyż w technice narciarskiej ustępują specjalistkom Austrjaczkom i Angielkom. W „slalomie" decydują nie walory fizyczne, nie talent i wytrzymałość. lecz tylko świetne opanowanie ewolucja i doskonała znajomość terenu.

*

W ostatnich zawodach w Zakopanem Brońcia Polankowa zwyciężyła zdecydowanie, bijąc swoją najgroźniejszą konkurentkę Słopkównę o parę minut.

SEZON GIER SPORTOWYCH W PEŁNI.

We wszystkich salach gimnastycznych całej Polski co tydzień prawie odbywają się wielkie turnieje gier sportowych, do których staje po kilkanaście, a nieraz nawet po kilkadziesiąt drużyn.

Koszykówka i siatkówka zdobywają u nas olbrzymią popularność, na którą w pełni zasługują, jako sporty wyrabiające sprawność fizyczną najwszechstronniej.

Z pośród kadr graczy siatkówki i koszykówki wyławiamy coraz częściej utalentowane jednostki, które w przyszłości, dzięki swemu świetnemu przygotowaniu, odnoszą i w innych dziedzinach sportu wybitne sukcesy.

Wojciech Trojanowski.

A TERAZ POROZMAWIAMY

Fel. Now. z Myślenic. — No, w tym wypadku okazało się „stoliczku nakryj się". Kącik harcerski już jest! Chętnie będzie korespondendował z czytelniczkami. Opisy własnych przygód można będzie zamieszczać w dziale „Wasza Stronica". Oczywiście nie możemy gwarantować zamieszczanie całego nadesłanego materjału — bo może go być więcej niż na cały numer „Świata Dziewcząt" ale postaramy się o szczelne zapełnianie „Waszej stronicy".

Jance Ż. — Widzisz, Janko, Twój opis dnia w szkole poszedł w całości. Nie mogliśmy tylko zreprodukować kleksa. Wiesz dlaczego poszedł? Bo był dobrze, żywo, szczerze i naturalnie napisany, bez żadnej „pozy" na literaturę. Chociaż trzeba przyznać żeś złośliwie scharakteryzowała swoje nieuważające koleżanki. Czy się żadna nie obraziła? Niestety, zdarza się czasem taka pechowa lekcja, na których zmarnuje się najciekawszy wykład a potem jest gwałt z doganianiem kursu i tragedje z „ewajerami"! Napisz do nas i przyślij co jeszcze. Dużo miłych słów.

Lotty. — Pogoda ducha, chęć do pracy i życia... Mam wrażenie, że jesteś „od urodzenia" naszą czytelniczką! Jedno Twoje życzenie już się spełnia... powstaje dział „Bratnie dusze" będziecie w nim mogły korespondować między sobą. O ankietach również myślimy a także o kąciku radjowym. Zobaczysz, jak się to wszystko pokolei wprowadzi. Powiem Ci pod sekretem, że może uda nam się w niedługim czasie rozszerzyć łamy pisma t. j. dodać parę stronic. Zależy to tylko od was: jeśli pomożecie nam zjednać dużo nowych prenumeratorek, pismo urośnie w oczach! Ściskamy dłoń dzielnej 8-mo klasistki.

Zdence. — „Miłe i sympatyczne istoty bez rogów, kopyt i ogona" t. zn. według twoich słów— obie redaktorki bardzo dziękują za list miły i po brzegi naładowany sympatją. Czy jesteśmy miłe? Przypuszczamy, że... bardzo, ale kto nie zgrzeszył dobrem wyobrażeniem o sobie! Wolimy więc zdać się raczej na Wasz sąd. Tak! Tak! Prosimy o obrazki z życia szkolnego. B. szczere— to przedewszystkiem. Jeśli nawet zdarzają się w życiu jakieś ujemne nam i innym szkodzące zjawiska — musimy je sobie najpierw dobrze uświadomić a potem zacząć zwalczać. Ciuciubabka jest trudną grą życiową. Prawda? Ponieważ już przed czterema latami skończyłaś szkołę, możesz zdobyć się na bezstronność — a ponieważ dopiero cztery lata upłynęły od ukończenia jej — masz jeszcze wszystko świeżo w pamięci.

Opiekunce Sarenek. — B. dziękujemy za życzliwe słowa i odpisujemy listownie.

Chinko! — Rozpoczynasz dział „Bratnie dusze!" Widzisz, pójdzie nawet proponowany przez Ciebie tytuł.

Szalik szydełkowy będzie lada chwila. Przyda się na przedwiośnie. Nie możesz się doczekać numeru „wymarzonego pokochanego" czasopisma? My też z niecierpliwością łapiemy pierwszy numer (jeszcze wilgotny ręce) z maszyny i czytamy — wyobraź sobie z zaciekawieniem! Śmiesz się, prawda?

Tysiąc serdeczności.

10-cio letniej Dziubie. — Rysunki Twoje są robione z dużą wprawą, ale sprawiają wrażenie, że je rysuje dorosła osoba. Czy chodzisz już do szkoły? Byłoby dobrze gdybyś je pokazała nauczycielce rysunków. Dlaczego rysujesz same damy?

Musisz chyba przeglądać dużo modnych żurnali. Czy nie spróbowałabyś narysować czegoś innego?

Psyche. — O wzorach pomyślimy. Za wyrazy uznania „dla prześlicznego, kochanego morowego" pisma b. dziękujemy. O pracy nad sobą będziemy jeszcze pisały. Nie możemy dawać zadużo naraz trudnego materjału. Pamiętaj o tem, że czytelniczki „Świata Dziewcząt" są poważnie pracującemi osobami, że my doceniamy w pełni tę pracę i nie możemy zmęczonym osobom dawać zadużo twardych orzechów do zgryzienia. A teraz: czy artykuły wstępne a nawet wesełsze feljetony *nie dają* już sporo materjału? Nie trzeba sobie dawać za dużych porcyj odrazu — bo potem okaże się żeśmy wszystko zmarnowały a do zdobyczy życiowych przybędzie tylko znie chęcenie. Lepiej już mało a dobrze, jak powiada stare, zacne przysłowie.

Renka Ziajkówna i Marysieńka Misiakówna. — Dziękujemy Wam, Renko i Marysieńko że piszecie tak „śmiało"... Właśnie o tę śmiałość nam chodzi, to nie chcemy być dla Was oficjalnemi znajomemi, ale przyjaciółkami. Na dowód naszych nowych najlepszych chęci obiecujemy solennie w jednym z najbliższych numerów wszelkie informacje o pilotowaniu. Wzamian prosimy ładnie o napisanie, jak to tam jest w Waszej szkole zdobniczej. Czego ona uczy, jakie daje możliwości w życiu, ile trzeba płacić i t. p. Kto wie, może innym dziewczętom, które chcą wstąpić do szkół zdobniczych, przydadzą się Wasze informacje. Czekamy listów!

Mała Ow. — Jakież duże, ważne zagadnienie poruszyłaś w swoim liście! Jakiemi drogami pozyskać sobie życzliwość klasy (i wogóle gromady na terenie której działamy — prawda?). A także jak pozyskać sobie „Najbliższe serce" — przyjaciółkę. Uzbrój się w odrobinkę cierpliwości a znajdziesz w naszem piśmie aż dwa artykuły na ten temat. W krótkiej odpowiedzi ta sprawa nie da się wyczerpać. Tymczasem napisz nam szczerze o swoich rozczarowaniach i w jakich okolicznościach miały one miejsce. Im więcej będziemy o was wiedziały, tem łatwiej będzie coś doradzić trafnie i słusznie. A tymczasem maleńka przyjacielska rada „Małej Ow.". Nie martw się... Trochę, troszeczkę poczekaj... Są pewne stany duchowe, które przypominają dojrzewanie owocu. Może właśnie dla Twego hartu, dla Twego rozwoju trzeba jeszcze trochę samotności, trochę wmyślenia się w siebie, czasu na rozejrzenie się w nowem zapewne otoczeniu? Może właśnie w któryś z twoich koleżanek zaczyna kiełkować przychylność, sympatja... gotowość przyjaźni? Prosimy jeszcze o długi, ważny szczegółowy list— do niczyjej, tylko do naszej wiadomości.

„Redakcja" (jak to brzmi sucho i sztywnie — prawda?) — to, też trochę — serce.

Można się uśmiać!..

AMERYKANIE WE WŁOSZECH.

Dwaj Amerykanie przejeżdżają autem przez plac Św. Marka w Wenecji. Jeden z nich pyta.
— Gdzie teraz jesteśmy, Bob?
Bob zagląda do przewodnika i odpowiada:
— Na 130 stronie.
— W porządku — odpowiada towarzysz — teraz trzeba prędzej jechać. Musimy dziś dojechać do 135 stronicy.

W SKLEPIE.

Do sklepu z parasolami przychodzi pan i zwraca się do kupca z pretensją:
— Wczoraj sprzedał mi pan parasol, zaręczając, że rączka jest z prawdziwej kości słoniowej, tymczasem okazało się, że to zwykły celuloid.
Na to kupiec:
— A co ja temu jestem winien? Czy ja mogłem wiedzieć, że ten słoń miał fałszywe zęby?!

MYSZ.

Pewien pan zażądał w sklepie pułapki na myszy. Sprzedawczyni przedstawiła mu kilkanaście najnowocześniejszych pułapek, z których klient, po dłuższem poszukiwaniu wybrał wreszcie jedną. Ekspedjentka pyta:
— Zapakować?
— Nie, dziękuję — odpowiada gość, sięgając do kieszeni — mysz właśnie przyniosłem ze sobą.

ROZTARGNIONY.

Stary pan Grzebkiewicz jest strasznie roztargniony. Pewnego dnia opowiada w towarzystwie:
— Dostałem dziś list od córki, która zawiadamia mnie, że urodziło jej się dziecko. Nie pisze jednak czy to chłopiec, czy dziewczynka i teraz nie wiem, czy jestem dziadkiem, czy babką.

ZEZOWATY SĘDZIA.

Sędzia silnie zezujący zwraca się do jednego z trzech obecnych świadków:
— Jak się pan nazywa?
Na to drugi świadek:
— Mikołaj Ciok.
Sędzia do Cioka:
— Ja nie pana pytałem
A na to trzeci świadek:
— A czy ja co mówię?

Warunki prenumeraty: rocznie — zł. 10.—; półrocznie — zł. 5.—; kwartalnie — zł. 2.60; miesięcznie — zł. 1.—.
Cena ogłoszeń: strona dzieli się na 4 łamy. Szerokość łamu 54 mm. 1 mm w łamie 60 gr. Cała strona 720.— zł.

OGŁOSZENIA PRZYJMUJĄ. Biuro Ogłoszeniowe Tow. Wyd. „Bluszcz", Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40. Rudolf Mosse, Marszałkowska 124. „PAT" Królewska 5; T. Pietraszek, Marszałkowska 115. Polska Agencja Publicystyczna, Marszałkowska 93. Międzynarod. Biuro Ogł., Senatorska 29. „Ruch" Wydz. Ogł., Poznańska 68. Jan Apte, Zielna 26. „Par", Bracka 17. „Merkury", Królewska 49. Kraków: „Par", Rynek 46. Cieszyn: Rudolf Pszczółka, Rynek, Katowice „Par" Poprzeczna 8. Lwów „Par", Akademicka 14; Łódź. Fuchs, Piotrowska 50; Poznań Pol. Agencja Rekl. „Par" 27 grudnia 18; Wilno: Biuro Jutana, Niemiecka 14; Gdańsk: „Devera", Koblenmarkt 10.

Redaktorki: Hanna Januszewska Moszyńska i Wanda Borudzka. Wydawca Tow. Wyd. „BLUSZCZ"

Redakcja i Administracja Solec 87, tel. 244-18 i 787-03. Konto P. K. O. Nr 18.800
Redaktorka przyjmuje w poniedziałki i środy od godz. 11 do 13.

Zakłady Graficzne Tow. Wyd. „Bluszcz", Warszawa, Solec 87. Tel. 787-03.